



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GŁOCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. tal. pr. 1 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Od pewnego czasu każdy rok szkolny zaczyna się u nas jednym i tym samym chórem skarg i utyskiwań, żalów i narzekań, prośb i przypomnień na temat braku miejsc w szkołach publicznych.

Młodzież, jak pszczoły do ula, ciśnie się do drzwi szkolnych po naukę i oświatę, ale od progu samego cofać się musi, zlorzecząc niełaskawym losom i biadając głośno.

Szkoły bowiem są przepelnione, niema w nich miejsc ani dla szóstej części kandydatów, domagających się przyjęcia, błagających ze łzami w oku najczęściej o kącik, o przytułek choćby u stóp professorskiej katedry.

Niestety, wszędyindziej łatwiej o miejsce, wszędyindziej drogi otwarte dla młodzieży: tylko tu, gdzie biją źródła nauki, gdzie dla przyszłości pracować uczyć, gdzie oświatę dawać mają — stoi zapora nieprzeparta.

A tak nietylko w samej Warszawie: w każdym niemal większym mieście prowincjonalnym powtarzają się te same sceny; słychać te same skargi i narzekania z początkiem każdego roku szkolnego.

Z mało szkół, z mało zakładów naukowych!

Statystyka krajowa mogłaby podać bardzo smutne objaśnienia do sprawy wychowania publicznego i oświaty u nas. U innych ułatwiają młodemu pokoleniu warunki kształcenia się, dbają o to, aby, już nie każde miasto i miasteczko, ale każda gmina niemal miała swoją szkółkę; zaprowadzają przymus szkolny, dają naukę darmo, przygotowują państwu i krajowi oświeconych obywateli i światła nie stawiają pod korzec, ale — jeśli tak powiedzieć można, korcem światło rozdają ludowi.

U nas inaczej!... u nas formalizm nie pozwala przejść przez ciasne granice *normy*; aby nie przekroczyć sakramentalnej czterdziestki w jednej klasie odprawia się czterdziestu ode drzwi i na prośby o miejsce w szkole, o naukę, odpowiada się Dantejskiem: *Lasciate ogni speranza!*

Powstają wprawdzie zakłady prywatne, ale tam zazwyczaj nauka bywa droższą, a widoki na przyszłość mniejsze, bo ustawy mało uwzględniają kształcenie się poza murami szkół rządowych i traktują uczniów niemundurkowych jako nieuków niedojrzałych; przy przejściu zaś z zakładu takiego do szkoły rządowej stawiają wymogi ciężkie i utrudniają zrównanie się w prawach do dalszej kariery potrzebnych.

Utyskiwania gołosłowne i długie artykuły rozumowane w prassie nie zaradzą złemu; powtarzają się one co rok z początkiem każdego kursu i giną potem bez echa, a krzywda pozostaje krzywdą, złe złem, strata strata.... Czas-by było od słów przejść do czynu, od stwierdzenia faktu: że *szkół z mało, do faktycznego zaradzenia brakowi i zakładania nowych szkół* gymnazyalnych i realnych.

„Niema złego bez dobrego“ powiada ludowe przysłowie; oile też bolesnym jest widok tych setek młodzieży odprawianej z niczem od wrót szkolnych, o tyle zarazem pocieszającym przekonanie, iż żarliwa chęć pracy, poczucie obywatelskie w rodzicach, zrozumienie, choćby instynktowne, korzyści oświaty w młodszym pokoleniu — objawia się w naszym społeczeństwie coraz dobitniej i wyraźniej. Postęp to znaczny i Bogu dzięki — nieustanny.

Tem dotkliwiej też każdy kochający prawdziwie kraj swój i społeczeństwo odczuć musi tę fatalność, tamującą ów dobry i zbawienny popęd ku oświacie, w coraz szerszych objawiający się kołach.

Mamy filantropów, mecenasów sztuki, dobrodziejów rozmaitych celów społecznych i przedsię-

wzięć publicznych: powinniśmy znaleźć przede wszystkim energicznych przyjaciół i krzewicieli oświaty, fundatorów szkół, jałmużników na cele wykształcenia publicznego; powinniśmy znaleźć i środki potemu, skoro znajdujemy je często nawet na to, co zbyteczne.

Pod godłem: *fiat lux* powinniśmy pracować bezustannie dla dobra przyszłości, dla młodych pokoleń torować i prostować drogi, aby dalej i bezpieczniej od nas dojsz mogły do celów rozwoju i zrównać się z cywilizacją innych narodów.

Pomyślmy tedy szczerze i skutecznie o zakładaniu szkół i o popieraniu wszelkich dążeń skierowanych ku temu.

Przyszłość pobłogosławi i zapłaci każde najmniejsze nawet w tym celu usiłowanie, zwróci z lichwą każdą dobrowolną ofiarę i nagrodzi ogół za zasługi jednostek.

Nie podobna szczegółowo rozwijać wniosków i podawać wskazówek w powyższym przedmiocie: rzecz to ludzi czynu i obznajomionych lepiej od nas ze sprawą. Potrzeba tylko silnej i chętnej inicjatywy, energicznej ręki i wpływowego głosu, któryby się odezwał w porę i zestawiał warunki; o powodzenie i poparcie można być spokojnym.

Miejmy nadzieję, że inicjatywa taka się znajdzie, że myśl pomnożenia szkół publicznych w kraju dojrzeje w formie ścisłego projektu i poruszy cały ogół, wzywając do współdziałania wszystkich ojców miłujących kraj i przyszłych jego obywateli.

Oby tylko rzecz znowu nie poszła w odwłokę, nie przebrzmiała z echem ostatnich skarg, płynących z przedśionków szkolnych do Boga i ludzi dobrej woli!

Dobra inicjatywa, w porę podniesiona, jest zazwyczaj połową dzieła, jest hasłem zwycięstwa.

Niedaleko szukając przykładu, spojrzymy na projekt Bolesława Prusa, na owe kassy pożyczkowe dla ubogich rzemieślników, z których pierw-

sza z zakładowym kapitałem 5,000 rs., od 1 b. m. działalność swoją rozpoczęła.

Prawdziwie filantropijna a wysoce pożyteczna i obywatelska ta instytucja, rokująca jaknajpóźniejsze na przyszłość nadzieje, była, zaiste, błogosławionem natchnieniem swojego twórcy. Kasy pożyczkowe przez wdzięczność dla głównego ich inicjatora, powinny przekazać potomności nazwisko publicysty, który poczciwą myślą, gorącym sercem, odczuwającym potrzeby ubogich-bliźnich, i wprawnym piórem przyczynił się do ich powstania, kładąc jako kamień węgielny pierwszą ofiarę ze swego zarobku na cel tak szlachetny a na szczęście tak dobrze zrozumiany i tak dzielnie przez nasz ogół poparty.

Sądźmy, że tylko należny hołd oddanoby zasłudze, uzupełniając firmę nowopowstałej instytucji finansowej w nazwaniu jej: „Kasą pożyczkową imienia Bolesława Prussa“; pod taką firmą powinna ona istnieć i rozwijać się na pożytek biednych i poczciwych rzemieślników, ale i na chlubę dobrego obywatela, którego myśl troskliwa tak piękne dzieło wytworzyła.

Nie pomijajmy ani małych, ani wielkich zasług i umiejmy uczcić, co prawdziwie uczczenia godne!

Za miesiąc, to jest na początku Października, otwartą zostanie druga kasa pożyczkowa, również z zakładowym kapitałem 5,000 rs. Summa ogólnych składek, zebranych w całości prawie przez Redakcyę *Kuryera Warszawskiego*, przez czas trzech miesięcy, wynosi obecnie blisko 13,600 rs. Do zaokrąglenia funduszu rozporządzalnego potrzeba będzie jeszcze około półtora tysiąca — ale ten znajdzie się zapewne i uwieńczy dzieło, prawdziwy zaszczyt przynoszące wszystkim, którzy się do niego ręką, głową, czy też ofiarnym datkiem, przyczynili.

Drugim przykładem dzielnej i szczęśliwej inicjatywy jest dobra myśl, już wykonana i wprowadzona w życie, przez szanownego księdza rektora, Zygmunta Chełmickiego. Za ten i gorliwy pracownik *pro publico bono*, ulitował się losem biednych mieszkańców Powiśla, i przez stosunki swoje zdołał pozyskać dla nich „bezpłatną“ poradę lekarską w lecznicy, utrzymywanej dotychczas przez spółkę młodych lekarzy przy ulicy Długiej pod Nr 5.

Szlachetni ofiarodawcy rozebrali pomiędzy siebie dyżury, pozyskawszy pomoc innych jeszcze kolegów, i od dwóch tygodni jedna z bardzo ważnych kwestyj niedoli miejskiej w mieście naszym rozwiązana została.

Znalazło się także dwóch filantropów pomiędzy aptekarzami, którzy zgodzili się biednym oddawać za mniej niż połowę ceny lekarstwa, według recept bezpłatnej lecznicy.

Z nader ważnym i pożytecznym celem filantropijnym powinny nam jeszcze przybyć jedno Stowarzyszenie, gdyby projekt p. Władysława Kosteckiego, pomieszczony w jednym z ostatnich numerów *Ekonomisty* przyszedł do skutku. Wnioskodawca jest dozorującym jednego z oddziałów więzienia karnego w Warszawie i patrząc z blizka na ów świat murami i kratą odgraniczony od reszty społeczeństwa, na upadłych i spaczonych wyrzutkach jego, napiętnowanych wszelkiego rodzaju zbrodniami, miał dotychczas dosyć sposobności do zbadania natury więźniów i całego wpływu, jaki na nich kara i kaźń więzienna wywiera. Twierdzi on, na podstawie własnych i cudzych doświadczeń, że znakomitą pomocą moralną i pomocą dla zbłąkanych jednostek społecznych wypuszczonych z rąk sprawiedliwości na rozdroża codziennego życia byłoby „Towarzystwo opieki nad uwolnionymi z więzienia“. Towarzystwa takie istnieją zagranicą, zwłaszcza w Anglii, i są istną strażą ratunkową dla biednych rozbitków społecznych. Statystyczne dane w ostatnich latach trzydziestu przekonały, że wszędzie, gdzie Towarzystwa takie istniały, wypadki powtórnych przestępstw przez uwolnionych więźniów znakomicie się zmniejszyły.

W rozwinięciu projektu swego pan K. rozpatruje szczegółowo trzy podstawowe punkta, na jakich się opiera organizacja podobnych towa-

rzystw: 1) Udzielanie uwolnionym pieniężnych zasiłków zwrotnych, 2) urządzenie nad uwolnionymi odpowiedniej opieki i 3) zapewnienie im pracy.

Naszem zdaniem punkt ostatni najważniejsze ma znaczenie i najskuteczniejszą mógłby być ręką podźwignięcia upadłych i wprowadzenia ich na drogę rehabilitacji. Nic tak nie odżywia, nie podnosi, nie utrzymuje zdrowia duszy, jak praca; ona staje się mistrzynią moralności częstokroć, pocieszycielką i lekarką dusz chorych: ale czy o tę pracę tak łatwo u nas, jak gdzieindziej? a zwłaszcza czy łatwo o nią dla ludzi napiętnowanych zbrodnią, choćby odpokutowaną i zmazaną całymi latami skruchy? Upředzenia opinii i nieufność nie tak łatwo zwalczyć, nie tak łatwo przekonać ogół o poprawie zepsutych jednostek społecznych.

Corok prawie Zarząd Osad Rolnych uskarża się na to właśnie, że dla swych wychowanców małoletnich nie może znaleźć odpowiedniego pomieszczenia, bo ludzie są... ludźmi, nie przebaczą tak łatwo win i nie rozgrzeszają tak wspaniałomyślnie jak Pan Bóg. Plama przeszłości, choć zmyta najstaranniej i zatarta, jeszcze pozostaje piętnem, od którego odwracają się często nawet bardziej poplamieni, tylko umiejący ukryć własne winy.

Otóż z tą pracą byłoby u nas trudno, nasze upředzenia i przesady stawiałyby niejedną zapórę nieszczęśliwym jego wygnańcom na drodze powrotu do społeczeństwa.

Godzimy się też najzupełniej na bardzo trafną i słuszną uwagę *Gazety Warszawskiej*, odzywającej się tak w rzeczonyj sprawie: Towarzystwo podobne stałoby się naturalnym rzecznikiem najnaganniej zaniedbywanej sprawy zapisu Staszica na dom zarobkowy. Potrzebując bowiem zapewnić możność zarobku indywiduum, dla których niezwłocznie po uwolnieniu trudno wynaleźć zajęcie u majstrów i przedsiębiorców prywatnych, Towarzystwo wówczas w pełni-by zadanie swoje dopiero osiągnąć mogło, gdyby wreszcie powstał w Warszawie staszicowski dom zarobkowy, w którymby jego pupile, na równi z potrzebującymi pracy i zarobku, jeszcze nieskazanymi nędzarzami, takową z łatwością znaleźć mogli. Być może też, iż Towarzystwo podobne wpłynęłoby u nas na poprawę więzień, które tej poprawy bardzo potrzebują.

Rok bieżący dla wzrostu naszych instytucji i, pomocoshemu niekiedy przez losy traktowanych, projektów był jeszcze wyjątkowo szczęśliwym. Tak zwany „sezon ogórkowy“ stracił zupełnie swój charakter; nie zmarnowaliśmy go wcale. Jednym z najprzyjemniejszych wspomnień była Wystawa wyrobów przemysłu ożenionego ze sztuką, po której w spuszczaniu dostanie się nam Muzeum i piękne wydawnictwo „Album“ zawierającego podobizny ciekawszych okazów.

Cicho, bez hałasu i reklamy wyrasta z ziemi kształtny i miły dla oka, a przeznaczony dla publicznego pożytku gmazek na Koszykach, zdała od zgiełku i wrzawy miejskiej. Składa się on z dwóch korpusów w kształcie litery T połączonych z sobą i ma dowiecne urządzenie wewnątrz. Jest to Muzeum pszczelnicze, stawiane przez swego założyciela p. Lewickiego, zamiłowanego specjalistę i hodowcę pszczół, przy pomocy x. Szymańskiego. Dla profanów i znawców będą tu niezmiernie zajmujące rzeczy do widzenia, gdy budowa wykończoną zupełnie i urządzoną zostanie.

Wszystko, co należy do pszczelarstwa, nietylko w różnych krajach, ale i w różnych częściach świata, znajduje tutaj swe pomieszczenie. Francja, Anglia, Niemcy, Włochy, Szwajcarya, Belgia, Austria, Polska, Rossya, Szwecya, Azya, Afryka, Ameryka będą tu miały osobne działy z całą właściwą charakterystyką hodowli, urządzenia ulów, narzędzi i przyborów pasiecznych.

Obok Muzeum założyciel już urządził fabrykę uli i narzędzi pszczolniczych; samo zaś Muzeum będzie posiadało, oprócz właściwego charakteru, także charakter szkoły pasiecznictwa, oraz pasieki doświadczalnej.

Stara to gałąź naszego gospodarstwa wiejskie-

go, hodowana niegdyś gorliwie i starannie przez ojców naszych, zaniedbana później i lekceważona najnieślusniej, jak wiele tradycyjnych spuścizn po przodkach. Daj Boże, aby zacne usiłowania p. Lewickiego uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem i wzbudziły nowe zajęcia dla pszczelarstwa w kraju, który od pszczół wiele jeszcze uczyć-by się i pszczołę za godło swej pracy obrać powinien.

Zczasem może się da obok Muzeum na Koszykach założyć drugie muzeum, rybackie, projektowane przez znakomitego naszego ichtyologa p. Girdwojnia.

Początek zrobion y, dalszej pracy niech Bóg poszczęści!...

Z życia Warszawy, nabierającej coraz więcej ruchu w sezonie jesiennym, moglibyśmy tylko mniej ważne szczegóły przytoczyć, ale na nie szkoda miejsca.

* * *

Donato zostawił po sobie trwałą, daj Boże, pamiętkę: zahypnotyzował *Przegląd Tygodniowy*. Pisemko to, znane z nieuctwa, przewrotności i polowania na czytelników z naganką skandalu, bredzie zaczyna w sposób niezostawiający już wątpliwości, że się znajduje w uspieniu, że kartofle smakują mu jak morele, a morele jak kartofle.

Przegląd ma prześlizchny mechanizm: zło w nim nie ginie nigdy. Pycha, ambicya, gniew i nienawiść ku prawdzie, oile się nad linijką felietonową wylać nie zdołają, ściekają zaraz pod linijkę, do tak zwanych *Ech warszawskich*, i tu już płyną szerokim kanałem, jedyne w prassie polskiej felietonu, na który prawdziwie żal jest języka polskiego.

W tych-to *Echach*, w Nr 34, znajduje się twierdzenie, że najnowsza korespondencya poznańska *Bluszczu*, w Nr 32 i 33 zamieszczona, pochodzi jeszcze ze Stycznia r. b.

Czytelnik, który z tej korespondencyi dowiedział się o faktach zaszłych w Czerwcu r. b., wie, że twierdzenie *Przeglądu* jest... zjedzeniem kartofla za morelę, i nie potrzeba go przekonywać, z jaką złą wolą działało tu pisemko, rządzące się lekkością a uosabiające postępek w lokomotywie.

Ale *Przegląd* przypisuje nam jeszcze co innego: oto, żeśmy *sprostowanie* (jak mówi) p. Sulimierskiego, z Grudnia z. z., zamieścili dopiero w numerze „ostatnim“. Tym „ostatnim“ dla *Przeglądu* z d. 21 Sierpnia mógł być tylko numer *Bluszczu* z d. 17 Sierpnia, czyli 33: tymczasem, wyjaśnienie, które *Przegląd* przewrotnie *sprostowaniem* nazywa, znajduje się już w Nr 5 *Bluszczu* z 1881 r., a zatem o 28 tygodni wcześniej, na samym początku roku bieżącego.

Owo, według nieprawej logiki *Przeglądu Tygodniowego*, „sprostowanie“, jest zycziwem, osobiście przez Redaktora *Słownika geograficznego* powtórzonem, podziękowaniem za wzmiankę o jego wydawnictwie, zamieszczoną w *Bluszczu*, w końcu r. z. Pan Sulimierski niczego w odezwie swej nie prosi; wystawia tylko w korzystnym dla *Słownika* świetle pewną okoliczność, która mniej korzystnie przedstawiała się w uwagach sprawozdawcy.

Wszystko, co *Przegląd* w Nr 34 powiedział o *Bluszczu*, obraża prawdę, kłam jej w żywe oczy zadaje. Taki jest już jednak oręż, taka taktyka, takie nieuleczone kalectwo *Przeglądu*. — *Calumniare audacter! quidquid semper haeret.*

Przegląd będzie innym wtedy tylko, gdy już wcale nie będzie.... Nie wątpimy, że gdyby już teraz zapotrzebował spoczynku, społeczeństwo chętnieby mu go ułatwiło.

sne a rozwinę się zupełnie, wtenczas ludzie zobaczą: co to jest geniusz! Mało być muzykiem, co zna wszystkie tajemnice sztuki, zbadal dokładnie utwory wszystkich mistrzów; nie nie znaczy biegłość i wprawa, gdy daru ważniejszego niema: trzeba być muzykiem-poetą, trzeba mieć w duszy cudne melodye, natchnienie mieć trzeba; kto go niema, za nic go już w świecie nie nabędzie; ono się rodzi z człowiekiem, najkrwawsza praca nie zastąpi geniuszu! Wierzyłem w swą gwiazdę niezachwianie. I jakże było nie wierzyć? Naokoło mnie powtarzano przepowiednię i wpajano wiarę w jej niezawodność. Od dzieciństwa już byłem niezwykle dumny; z pogardą patrzałem na resztę ludzi, sądziłem, że robię im łaskę, gdy raczę rozmawiać lub na skrzypcach przygrywać. W szkole klóciłem się z kolegami, bo zawsze i wszędzie przodować, błyszczeć i rozkazywać chciałem, a hołdy odbierać — jako należność. Są na świecie szczęśliwi, którzy umieją tać się z talentem. dopóki nie dojrzej; ja zawczasu już twierdziłem z dumą pewności na czole, że jestem geniusz. I znaleźli się dość łatwowierni na to, aby w braku czynów, słowom dać wiarę. Zarozumiałość moją spotęgował przypadek, który się wydarzył w pierwszych latach młodości mojej: — Cała rodzina nasza w liczonym gronie znajomych płynęła na Bielany, łódka, jak dziś pamiętam, długą a wąską. Mielśmy już przybić do brzegu, gdy nagle łódź wodą się napełniać poczęła — wszyscy struchleli: jedni zaczęli się modlić, inni wodę wylewali kapeluszami, reszta — krzyczała wniebogłose — o pomoc; przewoźnik, co sił starczyło, ku brzegowi zdążył... Ja jeden spokojnie a dumnie oczy wlepiłem w niebo — nie błagałem jednak: *zadatem* ratunku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MIKOŁAJ SEP SZARZYŃSKI

przez

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg).

Pobożny Sep przystał się na propozycją księdza: wziął się do Ksiąg Świętych.

Mając umysł stateczny, czynię, co należy,
Niech moja łódź — gdzie pędzi wola Boża — bieży,
I przy brzegu, który mi Bóg nazaczył — stanie,
Jeśli nie jest bezportne ludzkie żeglowanie.
(Pieśń IX).

Psalmy Mikołaja Sępa Szarzyńskiego nie są ściśle tłumaczeniem Psalmów Dawidowych, w całym tego słowa znaczeniu. Jest w nich uchwycona myśl, wątek a nawet sam tok poetyczny wzoru; ale poeta wszystko tak ukształtował, że w zupełności miał prawo zatytułować psalmy przez siebie oddane pieśniami.

PIEŚŃ I

Na Psalm Dawidów XIX.

Narodzie, głupią mądrością chlubiły
I błędem zmyslnym wierzyć uporeczywy —
Mnóstwem gwiazd slicznych niebo ozdobił
Obacz — a zmysły wzdry oświeć zaćmione.

Poznasz, że mądrym, że jest wiekiustym
Pan — co ma pałac na sklepie ognistym,
W którym zawiesił i wietrzne próżności
I mozną wodę zniósł z ziemnej ciężkości.

W pewne godziny dzień nocy cieniowi,
W pewne godziny noc zstępując dniowi,
Świadczą swym biegiem tak porządnie zgodnym,
Że nie trafunkiem świat stanął przygodnym....

Ażeby lepiej uwidocznić: oile przekłady Psalmów dokonane były wolno, porównam całą tę poezję biblijną Mikołaja Sępa Szarzyńskiego z przekładami Psalmów Jana Kochanowskiego.

Oto tenże sam Psalm XIX, *Coeli enarrant Gloriam Dei*, w przekładzie ojca poetów polskich:

Głupia mądrości, rozumie szalony:
Gdys na umyśle tak jest zaślepiony,
Ze Boga nie znasz tem cielesnym okiem,
Pojrzyj przynajmniej po niebie szerokiem.

Jest kto, krom Boga, o kim-byś rozumiał,
Żeby abo mógł, abo więc i umiał
Ten sklep zawiesić, ten nieustawiony,
Złotemi zewsząd gwiazdami natknięty?

Dzień ustawicznie nocy naśladować,
Noc także dniowi wzajem ustępując,
Opatrzność Pańską jawnie wyznawając;
Toż i porządne nieba powiadają.

Bezstronnie sądząc, zdaje się, że poezja Mikołaja Sępa Szarzyńskiego w powyższych zwrotkach psalmu jest owiele wyższą, bardziej obrazową, a nawet niezaprzeczenie religijniejszą i wzniolejszą. Poezja ta jest modlitwą płynącą z serca i duszy. Znać, że Sep, pisząc ją, modli się, wierzy i wyciąga ręce do tronu Najwyższego wraz z sercem. Nie jest on tak zwięzłym, jak Jan Kochanowski, który w dalszym ciągu tegoż samego psalmu objawia obrazowość daleko jaśniejszą, bardziej wykończoną i bogatszą; naprzykład słońce opisuje tak:

Ztąd wdzięczne światło na wszytek świat daje
Ogień słoneczny, który, kiedy wstaje,
Jako z łóżnice młody oblubieniec,
Niosąc na głowie świetny złoty wieniec.

A Szarzyński:

Kto się, gdy nieba chmura nie zakrywa,
Patrząc na jasnym gwiazd blask, nie zdumiwa,
Abo gdy światłem uderzy go w oczy
Słońce — ognistym gdy się kołem toczy?

Które gdy z łoża powstanie swojego,
Jak oblubieniec obleczon z szczerzego
Złota ubiorem, a wieniec z kamieni
Kosztownych sprawion, głowę mu promieni.

Albo też jeszcze jedna zwrotka, która u Kochanowskiego brzmi:

Od wschodnich granic wynika ku biegu,
A zostawa się na zachodnim brzegu.
Jako świat wielki, nie masz miejsca tego,
Gdzieby się schronić przed promieniami jego.

U Mikołaja Szarzyńskiego zaś:

Od wschodu biejąc — aż tam, gdzie powstawa
Noc ciemna, gwiazdom światłości dodawa,
I co jest kolwiek tu na niskiej ziemi,
Wspładza i i żywi płomieniami swojemi.

Widzimy więc, że dwaj najpierwsi poeci nasi XVI wieku wielce się różnią od siebie, choćby w naśladownictwie lub przekładzie Psalmów. Jan używa porównań lżejszych, jaśniejszych, bardziej obrazowych, że tak powiemy, błyskotliwszych; Mikołaj jest, w ogólnym tonie i kolorycie, bardziej myślicielem. Kiedy Jan, tłumacząc a raczej naśladowując, Dawida, w słońcu upatruje siłę, przed której promieniami ukryć się nie podobna, to Mikołaj Sep patrzy na słońce jako na przyczynę życia wszechświata, jako na motora oświecającego tak uroczo inne ziemie, rozrzucone we wszechświecie, a tak wspaniale z widnokregu jaśniejące nad naszą ziemią.

Ale nie możemy z porównania jednego Psalmu wnioskować, chociaż już to porównanie dość jasno maluje nam usposobienie obu mistrzów. Pójdźmy dalej. Następną pieśń Szarzyńskiego jest naśladowana z Psalmu LII: *Quid gloriaris in malitia, qui potens es in iniquitate?*

Czemuz się chlubisz tyranie
Z twoich praktyk — złością możnych?
Pańska dobroć nie ustanie
Pilnować ludzi pobożnych.

Ostrzejszy nad naostrzoną
Brzytwę — język twój — pilnuje
Nieprawdę, zmyślać szaloną
I na dobre potwarz knuje.

Milszać złość — niż cnoty święte —
Milszyć kłamca, niż prawdziwy!
Rado oko twe przekłete
Patrza zdrady zaraźliwej.

Wiersz ten nie odznacza się porównaniami poetycznymi; przytaczam go jednak na przykład liryzmu rzadkiego w poezji naszej. U Kochanowskiego takiego liryzmu owiele mniej znajdujemy. Oto przekład wieszcza z Czarnolasu:

Co się chlubisz niewstydlivy
Z niecnót swoich? Jest Bóg żywy,
Który świat i ludzkie rzeczy
Ustawicznie ma na pieczy.

Myśli twoje są zdradliwe
I postępkie niewstydlive,
Język ostry — brzytwie równy
Nieprzyjacieli dobrym główny.

Dalej jednak zmienia swój rytm wiersz Kochanowskiego:

Niecnotę cnotcie przekładasz.
Imo (*tak*) prawdą kłam powiadasz,
A cokolwiek ludzi gubi,
To samo twe ucho lubi.

Dalsze psalmy, a mianowicie psalm LVI: *Miserere mei Deus, quoniam conculcavit me homo*, zasługuje również na uwagę; ale nie będziemy już dalej porównań naszych prowadzili, zaznamy tylko, że przy zwykłym rozszerzaniu psalmów, których Jan jest tylko tłumaczem i naśladowcą, Mikołaj wtrąca kiedyniekiedy ustępy świeże, nowe, jakgdyby rzucające światło, kto wie czy nie na jego stosunki rodzinne. N. p. ustęp psalmu, który Jan Kochanowski wyraził w czterowerszowej strofice:

Co wyrzekę, wszystko opak wywracają,
By mi jedno szkodzić, na to pieczęją mają.
Schadzki o mnie czynią, radzą, naprawują,
Gdzie się jedno ruszę, wszędy mię szkalują.

u Mikołaja znajdujemy bardzo rozszerzony i zupełnie inaczej brzmiący, tak, jakby się skarżył na siebie i niewinniał i prosił obrony:

Cóżkolwiek mówię, to źle wykładają,
Każdej przyganę mojej sprawie dają,
Na to swą pilność wszystkie obrócili
Bezbożni ludzie, aby mię hydżili.

I w zborach radzą, aby głowę moję,
Lub skrytą zdradą, lub przez jawną zbroję
Stracili; przeto ścieżek mych pilnują,
Mnie przepieczeństwa nic nie zostawują.
A więc to zcierpisz, Panie sprawiedliwy?
Będą się cieszyć z swoich spraw złośliwi?

Ustęp ten może naprowadzić nas na mniemanie: czy nie namawiali czasem Sępa ówczesni dysydenci do porzucenia swojej starej wiary? Wszak czynne umysły reformatorskie wszelkimi siłami starały się przedewszystkiem ludzi wpływowych zjednać dla siebie. Tak było z Rejem, Rafałem Leszczyńskim, Górką, Firleyem etc. Zdaje się, że z takim samym zamiarem musieli udać się i do młodego Mikołaja. Ale na Rusi nie była tak rozpowszechniona herezyja: albo wiara była silniejszą, albo krzewiciele nowych nauk mniej liczni. Zwraca też na siebie uwagę ta okoliczność, że Lwów i jego okolice, mniej niż inne znaczniejsze

w całym tego słowa znaczeniu. Życie jego w latach dzieciennych przeraża, chociaż strącimy już właściwy procent na przesadę, w celach artystycznych nieuniknioną. Syn biednego nauczyciela, zaprzężony pomimowoli do pracy, zagniony do greczyny i do łaciny; w domu każdy go targa za uszy, policzkuje, a on — jeżeli i płacze, to bardziej przez uczucie tego poniżenia w którym żyje ojciec, i tej śmieszności, jaką się okrywa matka, niżeli owej niedorzecznej i niesprawiedliwej srogości dla niego, dla całej, cierpiącej jak on, rodziny.

Tu mamy pierwszy dowód, że studium to, pisane z dalekich już wspomnień, grzeszy, często niepodobienstwem i przesadą w kreśleniu wrażeń i stosunków. Dziecię w wieku Bakałarza nie mogło mieć i nie miało poczucia: co to jest poniżenie ojca, albo śmieszność matki? Są to namysły i wnioski późniejsze, które się wyrobiły a posteriori w smutnej myśli Vallèsa.

Czuje się dobrze, w jakim to źródle zaczerpnął on tej nienawiści ku wszystkiemu, co stanowi posłuszeństwo i karności. Nienawid, której ciągle piekące żarzewie pokazuje się widocznie, kiedy widzimy go na każdej karcie żałującego ciężko, że los nie dał mu się urodzić w rodzinie robotniczej, z którejby wyszedł cieślą albo murarzem!

Dla tych, którzy osobiście znają autora, są to dobrze wiadome i dawno przezeń wygłaszane teorie. Ale, jak zauważył jeden z jego przyjaciół, ta różnica pochodzenia nie tłumaczy dostatecznie ciągłego i burzliwego wyłamywania się zpod ogólnego, powszechnego prawa. Vallès, gdyby się był nawet urodził murarzem, to chciałby zostać wywoźcą śmieci i t. p., bo przyniósł z sobą na świat usposobienie — rewolucyjne, gwałtowne, naturę *Nieregularnego*, wszystko do ostateczności posuwającego człowieka, jak tu nazywają Francuzi: „*Irrégulier et Outransier*“; — marzącego o jakiejś życiu wolności i potęgi zarazem, niepodobnym nawet niemożliwym do urzeczywistnienia w sferach wyższych ponad te skromne poziomy murarzów i cieśli, i widywanych chyba we śnie, albo w świecie poetycznych złudzeń.

Przyjaciół autora, którego słowa powyżej przywiodłem, dodaje jeszcze, że Vallès obdarzony jest przytem czułością niezmierną, którą ukrywa starrannie, jakby śmieszność jaką. Ztąd w obchodzeniu się okazuje często brutalstwo, które jest obmyślane i umyślne. Trawiony ciągłą, gorącą żądzą użycia, ambitny, pełen miłości własnej, udaje wielkie przywiązanie do *ludu*, do tych, których nazywa szumnie: *Wydzieńdzicznymi*. W młodych latach, robił, co mógł, aby się stać bohaterem brukowym, bił się nawet potrosze, za sprawę niby-to ludu z ulicy i rzucał, co miał w kieszeni, do wyciągniętego kapelusza: ale te usiłowania wniwecz się obróciły. Zaprowadziło go to jedynie do kozy, na wygnanie, a dziś wkońcu, po powrocie, skazało go na zapomnienie u braci.

Chmurny i mglisty w pismach — z natury, jak każdy Francuz, jest wesołym i lekkim. Żartuje chętnie i dowcipkuje po pierwszym przywitaniu, jakgdyby się lękał, aby go nie wzięto na fundusz. Przesadza nawet w gorzkiej ironii, i często w ten sposób ukrywa lęk rozczulenia łatwego. Jest to nawet jego charakterystyczną cechą, że cały oddany pierwszemu wrażeniu, udaje przeciw, chociaż rozczulony, niezmierną wesołość i *grubo się śmieje*, jak człowiek, który się nie zatrzymuje przed niczem, który nic nie szanuje: ani związków rodzinnych, ani związków społecznych; który nie przyjmuje i nie słucha rozkazów niczyich, choćby przewódców własnego stronnictwa — i odrzuca wszelką gotową regułę, dlatego właśnie, że to jest reguła, coś, co rządzi i prowadzi.

Vallès jest jakby umyślnie stworzony do odegrania wybitnej i oryginalnej roli w literaturze francuskiej, która żyje dziś jedynie, spirytusem, wyskokiem. Te też, od pierwszego wystąpienia w literaturze i dziennikarstwie Vallès zajął odrębne miejsce. Znaleźli się zaraz ludzie, którzy wołali: — *Ecce! ecce homo!* Później, z czasem, nowoprzybyły, przeszedł przez piekło i czyszciec. — Uczestniczył we wszystkich prawie straszliwych awanturach międzynarodówki i komuny, i z tą

ostatnią zniknął z horyzontu paryżkiego. Jedni go mieli za zbrojnego, inni nazywali męczennikiem.

Człowiek ze steranem zdrowiem, chudzina, chociaż młody jeszcze, ma pozór starca; postać zszarżana, wygląda złowrogo; rozczochrany, zapuszczony, niedobrze mu patrzy z oczu — jak to powiadają. Sam tylko w nim pisarz stoi jeszcze na nogach. To też, skoro wrócił z wygnania — z Londynu — znalazł swe dawne miejsce niezajęte, bo jak mówiłem, ma on w sobie oryginalność, która się nie da zastąpić zbyt łatwo w piśmiennictwie francuskim. Główną jego słabostką jest to, że choruje na statystę, na polityka, chociaż, nikt go w tej roli nie bierze naprawdę, chociaż nieposkromiony w swoich wybrykach, Zola woła nań z góry, aby szedł do pióra: „Czy wyobrażacie sobie, powiada, Vallès'a, przykutego do taczki politycznej? Vallès'a, którego wypędzono ze szkół za nieposłuszeństwo? I on to ma być człowiekiem politycznym! Dajcież mi święty pokój. — Ma on zbyt wiele talentu, zbyt wiele oryginalności, aby się stać tą rzeczą fałszywą lub głupią — tą rzeczą, której powinnością jest, stać lub iść w szeregu, nie mając nawet prawa do śmiechu!“

Ale, pomimo żarcików i przedrzwian Zoli, pomimo natury i temperamentu literata, Vallès chce być mężem stanu. Jest to znak, po którym poznajemy naszą epokę. Biedny to zresztą polityk, fanatyk, marzytel, niedowarzone piwo! Najlepiej go charakteryzuje odpowiedź którą dał mniemanym wyborcom, ofiarującym mu mniemane poselstwo do Izby. — „Nie mogę przyjąć — powiada — poselstwa, które mi da prawo wejść drzwiami do tej Izby, do której zwykłem wchodzić przez okno“. To też i *Bakałarz*, jest to — jak mówiłem — pewien rodzaj *autobiografii* polityczno-romansowej. W tej książce Vallès czyni, jakby wyznanie wiary, maluje jakby wizerunek swojej młodości, z ostatnich lat Cesarstwa. Mieliśmy już coś podobnego w książce pod tyt.: *Za Cesarstwa* (Sous l'Empire), jego kolegi i współcznia p. Ranc, znanego pod przezwiskiem: „Prokuratora komuny paryżkiej“; ale Ranc, to właśnie przeciwny biegun Vallèsa. Tamten — polityk zakulisowy, podrzędny — ale polityk; ten — ideolog i poeta.

W *Bakałarzu*, jak w książce *Za Cesarstwa*, rzecz chodzi o ów sławny spiszek, tak zwany „Spiszek Opery Komicznej“. Ale jak-że się on przedstawia różnie, pod piórem, tych dwóch pisarzy! Ranc, opisuje go jakby z urzędu — Vallès, jak artysta-aktor. Od początku zaraz wpada on, w jakiś ponury dziwoląg — rzeczywistość zmienia się w melodramat zmyślony, blaga i kłamstwo ogarnia wszystko. Czytelnik rozumie odrazu, że to pisał człowiek, bez przekonania i wiary. Vallès opowiada jak jasnowidzący i płaszczem arlekina usiłuje osłonić tę trochę śmiesznej prawdy, która stanowi ów sławny spiszek! Co za spiszek! i jacy to są spiskowci! *Risum teneatis!* Rozlatują się jak zające, skoro cień niebezpieczeństwa ukazał się w dali. To też i historyograf Vallès natychmiast odzyskuje swą komiczną werwę i nie widzi już nic więcej, prócz płochy nędzoty całej tej awanturniczej, zakowskiej sprawy.

(Dokończenie nastąpi)

KRÓTKI RZUT OKA

na stowarzyszenia rzemieślnicze

„Gwiazda“ i „Skafa“ we Lwowie.

(Dokończenie).

Jedną z książek Kraszewskiego, w której on niepochwleśnie maluje całą klasę rzemieślniczą, wpadła w ręce młodych członków *Gwiazdy*; ci uczyli się do żywego dotkniętymi. Rozpoczęły się narady: co robić; a im więcej stowarzyszonych odczytywało książkę, tem większe rozmiary przybierało oburzenie. Wreszcie, po długich namy-

ślach, na poufnym zebraniu uchwalono między sobą, żeby za wystawienie rękodzielników w świetle tak złem i fałszywym, wykreslić Kraszewskiego z listy członków honorowych. Miano go listownie zawiadomić o tej uchwale, wyjaśniając zarazem pobudki działania. Z takim zamysłem udano się do prezesa. Pan Mieczysław Darowski nie mała miał pracę, ażeby gorączkowo powzięty zamiar wygnać z umysłów, ale ostatecznie udało mu się przemówić do przekonania obrażonych i wyjaśnić, że autor pisząc swą powieść, nie miał wcale chęci obrażania ich, tylko wiernie przedstawił stosunki, jakie panowały istotnie za dawnych lat, a były o wiele gorsze od dzisiejszych. To udobruchało zagniewanych i zaniechali projektu, dając tylko uniesieniem się swoim świadectwo, jak dalece o honor swój dziś dbają.

Biblioteczka *Gwiazdy* bywa zasilana w znacznej części darami członków honorowych, a oprócz tego corocznie przeznaczają się pewna summa na zakupienie nowych książek. Członkowie potrzebujący nauki, otrzymują ją w następujących przedmiotach bezpłatnie: — Co Poniedziałek wykładają religią x. Jan Siemiński; język niemiecki dwa razy tygodniowo, p. Borecki Filip, nauczyciel szkół ludowych; rysunki w Niedzielę, p. Tschirschnitz, profesor rysunków w Muzeum Przemysłem we Lwowie; wreszcie dwa razy na tydzień śpiew, — p. Wojnowski, i taniec, — p. Kędziński. Naturalnie: wszystko to oprócz rysunków, które potrzebują światła dziennego, odbywa się w godzinach wieczornych, po ukończonej pracy w warsztatach. Nauczyciele, wyjąwszy jednego Tschirschnitza, są płatni. Nadto znakomitsi prelegenci urządzają w pewnych odstępach czasu wykłady z najciekawszych przedmiotów w dziedzinie nauki, na które bardzo często członkowie, nawet i z rodzinami, się schodzą.

Stowarzyszenie *Gwiazda* ma bardzo znaczne dochody, o wiele znaczniejsze od *Skafy*, żyjącej z ofiarności publicznej. Dochody te jednak nie z samych wkładek członków pochodzą: istnieją jeszcze inne dla nich źródła, a do najważniejszych należą przedstawienia amatorskie, dawane umyślnie na ten cel urządzonym teatrze, który się znajduje w sali balowej towarzystwa. Sala ta, duża, ładna i jasna, wysoka na dwa piętra, zajmuje cały front nowo wystawionego budynku. Przedstawienia powtarzają się kilkanaście razy w ciągu roku i ściągają zwykle liczną publiczność. I rzeczywistość, jest to widok bardzo ciekawy, z jakim nie często można się spotkać: widok czeladzi, z zapalem i zrozumieniem rzeczy, przejęciem się rolą a niekiedy i z prawdziwym talentem, odgrywającej najtrudniejsze dramata i komedye. Głównie uwagę naszą zwracały zawsze postaci kobiece tych żon, córek i siostr biednych rzemieślników, które nigdy nie miały sposobności nabyć wyższego wykształcenia i otrzeć się w świecie; z jaką swobodą i śmiałością poruszają się one na scenie, jakby całe życie na niej przepędziły! Teatr *Gwiazdy*, obok zysków materialnych, jakie przynosi towarzystwu, bezzaprzeczenia najwięcej się przyczynia do krzewienia oświaty, oglądy i ducha gorącej miłości swojej ziemi.

Sala balowa w ciągu karnawału nie stoi także bezużytecznie. Towarzystwo urządza zwykle kilka balów, gdzie rodziny stowarzyszonych mają sposobność wśród zabawy poznać się i zbliżyć. Panie majstrowe, którym zbyt małe jeszcze znaczenie i majątek nie pozwala dostąpić zaszczytu gospodarowania na publicznych balach miejskich, z wielką przyjemnością tu podejmują się roli gospodarzy. Sala balowa tak jest ładną i wygodną, że oprócz własnych zabaw, które, nawiasem mówiąc, niezawsze się świetnie udają, zwłaszcza w latach kiedy brak roboty i w handlu stagnacja się czuć daje, — zarząd stowarzyszenia wynajmuje ją często na bale prywatne, pikniki, lub rozmaite uroczystości innym stowarzyszeniom, niemającym własnych budynków.

W *Skale*, oprócz balów, odbywają się także przedstawienia amatorskie, w letnim teatryku, stojącym w ogrodzie; ale nic o nich bliższego nie wiemy. W każdym razie niewielki muszą przynosić materialny pożytek, bo nigdzie w sprawozdaniach nie spotykamy się z dochodem podpadającym pod tę rubrykę.

Do ulubionych zabaw, z których stowarzyszenie *Gwiazda* znaczne ciągnie zyski, należą wczasie lata urządzone „wycieczki“ w okolice miasta i tak zwane „festyny“. Na to, ażeby dokładnie zrozumieć, czem jest właściwie „festyn“, potrzeba kilku słów wyjaśnienia. Jest to bowiem specjalność szysto-lwowska, jakiej w żadnym innym z miast europejskich nie zdarzyło się nam widzieć.

Towarzystwo, które pragnie dla siebie, lub na jakikolwiek cel dobroczynny, zebrać pewien fundusz, wybiera jedną niedzielę albo święto i licznymi plakatami po rogach ulic ogłasza, że owego dnia odbędzie się festyn. W dzień oznaczony komitet festynowy zamyka jedno z najbardziej uczęszczanych miejsc spacerowych w mieście, dozwalając wstępu publiczności tylko za pewną opłatą, najczęściej od 10 do 20 centów od osoby. Festyn taki połączony bywa zwykle z loteryą fantową; często jednak zabawa obchodzić się musi i bez loteryi, każde bowiem towarzystwo zaledwie raz na rok z trudnością otrzymuje na nią pozwolenie, a festynów nieraz po parę w ciągu jednego lata urządza. W takim wypadku miejsce loteryi zastępuje tombola, czyli także rodzaj loteryi, na którą przecież nie potrzeba osobnego pozwolenia od zarządu. Wtedy zamiast zwykłych biletów wstępu każdy otrzymuje bilet zaopatrzonej numerem, następnie zaś w ciągu zabawy wylosowują się owe numery. Niekiedy kilkanaście, kilkadziesiąt a często i więcej z nich, bywa wygrywających. Fanty przygotowane na taką tombolę bywają rozmaite, mniej lub więcej kosztowne.

Przypominamy sobie festyny, gdzie główną wygraną stanowiła żywa krowa. Kiedy indziej znowu koń był najważniejszym fantem; niejednokrotnie nawet można spotkać cały żywy inwentarz, jak na przykład ładniutki baranki ze wstążeczkami i dzwonekami na szyi, gęsi, kaczki, kury i inne dwunożne i czworonożne stworzenia. Na każdą niedzielę i każde święto nieraz po parę festynów wypada. Łatwo sobie zatem wyobrazić, jakie wysilenia robią komitety, zajmujące się urządzeniem zabawy, ażeby czemś nowem zachęcić publiczność i ściągnąć do siebie. Oprócz kilku kapeli wojskowych, przygrywających kolejno przez całe południe, i kilkudziesięciu strażów armatnich, dających znać miastu o rozpoczęciu się festynu — fajerwerki, ognie bengalskie, słońca elektryczne, gymnastyczne popisy, chóry śpiewaków, obrazy z żywych osób, a często i przedstawienia amatorskie, na scenie urządzonej naprędce, — należą do rzędu najzwyczajniejszych tego rodzaju produkcji.

„Wycieczki“ różnią się trochę od festynów. I tu wprawdzie muzyka główną odgrywa rolę, lecz na trochę inny obracana bywa użytek. Podczas bowiem kiedy na festynie same uszy z niej korzystają, tu nogom ona oddaje największe usługi. A każdy bezstronny musi przyznać, że na żadnej wycieczce nie bawią się tak ochoczo i nie tańczą z takim zapałem, jak na wycieczkach *Gwiazdy*, w lasku Krzywczyckim, leżącym pod jedną z rogatek lwowskich. Duża, jasna polanka, zamknięta dokoła wysokimi drzewami, z miękkim, szmaragdowej barwy, trawnikiem, wyglądająca jak olbrzymi salon, zasłany wygodnym kobiercem, służy wybornie do tego rodzaju zabawy. Trudno też sobie wyobrazić piękniejszy widok nad „mazurą“ w sto kilkadziesiąt par tańczonych przez dziarską młodzież rzemieślniczą, po tej improwizowanej sali, o ścianach zielono wytapetowanych, oświetlonych gorącymi promieniami słońca i rozbrzmiewających dźwiękami wybornej kapeli. Wieczorem wesołe towarzystwo przy świetle licznych pochodni, wraz z przygrywającą nieustannie muzyką, powraca pieszo do miasta.

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, łatwo się przekonać, że *Gwiazda* z podziwienia godną gorliwością myśli o wszystkich moralnych, umysłowych i materialnych potrzebach swoich członków. Nie też dziwnego, że wszyscy garną się do niej skwapliwie.

Dotychczas stowarzyszenie, ażeby w niezbędne zaopatrzyć się przedmioty, ponosić musiało nieustannie, bardzo znaczne wydatki. Wystawienie budynku, urządzenie gazowego oświetlenia, umeblowanie, sprządzenie bilardu i sprawienie chorałgi, która obecnie służy poniekąd za widomy znak jedności i spójni wszystkich stowarzyszonych:

wszystko to znaczne pochłoneło summy. Przytem w ostatnich czasach fundusz zaliczkowy towarzystwa znaczne poniósł straty. W chwili annexyi Bosnii i Hercegowiny Austria powołała wielu z naszych rodaków w szeregi zmobilizowanych pułków. Niejeden z rzemieślników lwowskich musiał porzucić kraj, rodzinę i pracę, udając się w nieznane strony, gdzie go wysyłali. Ponieważ zaś większa część czeladników zadłużoną jest w towarzystwie, więc przy tak niezwykłym wypadku, kiedy zachwiał się byt każdego z powołanych, niepodobnym było zarządowi towarzystwa pościagać pożyczek, tak od dłużników, jak i od poręczających. Summy wypożyczone przepadły: wydział zatem nie miał innej rady, jeno tę, że z funduszu rezerwowego zapełnił braki, które się okazały w funduszu zaliczkowym. Pomimo jednakże strat takich, niema niebezpieczeństwa, niema obawy, ażeby byt tak żywotnej instytucji mógł być naprawdę zagrożony. Najgłośniejsze potrzeby już zaspokojono. Niepłonna jest nadzieja, że towarzystwo, na „silnych posiadach oparte, dalej się będzie powolnie lecz stale rozwijać, na własny i kraju pożytek.

Podług naszego zdania, oba stowarzyszenia będą musiały się z sobą połączyć. Nie wiemy: czy najbardziej interessowani w tej sprawie zgodziliby się na to, ani nawet zgoda: czy ta myśl może być do wykonania; każdy jednak zapatrzywszy się bezstronnie przyznać będzie musiał, że tak dla jednej, jak dla drugiej strony, korzyści z takiego zespolenia się byłyby nieobliczone. Pożytek zaś, jakiby kraj odniósł i wdzięczność biednych, którymby się w ten sposób niejedną łzę otarło, byłyby, spodziewamy się, dostatecznym wynagrodzeniem za cios zadany miłości własnej.

Gdybyśmy posiadali większą ilość stowarzyszeń tak pożytecznych i tak dobrze zorganizowanych jak *Gwiazda*, to kto wie, czy nie przyczyniłyby się one do rozwiązania w sposób spokojny, tego zadania, które wydaje się dzisiaj tak nierozwiązalnym, jak owa osławiona kwadratura koła. Mamy tu na myśl kwestyę socyalną, która jak groźne widmo przypomina wszystkim wybrancom losu, sytym, ciepło ubranym i żyjącym wygodnie, że są na świecie nieszczęśliwi — łaknący suchego kawałka chleba, drżący od zimna i nieraz napróżno błagający o pracę dla wyżywienia konającej z głodu rodziny.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

(Dokończenie).

Do celniejszych pejzażów należy p. *Walerego Brochockiego* większych rozmiarów krajobraz zimowy: „Pierwsze śniegi“. Znajdujemy się na gościńcu wiodącym przez wioskę; chaty i droga zasypane grzędkim śniegiem, po którym ociążała nogą stąpają ludzie i konie. Charakter wioski polskiej trafnie i malowniczo ujęty; niebo szare, śnieg wilgotny, miękki; atmosfera tęsknego smutku rozlewa się po szerokiej przestrzeni; dużo wyrazu i prawdy; malowanie sumienne; niektóre szczegóły kompozycji, jak np. zagroda na pierwszym planie, z całą swą fantastyczną bezkształtnością, mile zajmują wyobraźnię pomysłem oryginalnym, wdzięcznym układem i troskliwością wykonania. „Park w Łazienkach“ p. *Maleckiego* jest dziełem marnym; rozstrzelone wrażenie nie skupia się w dobitniejszym szczególe; niema tęgości linii i syntetycznych efektów; rzecz to malowana powierzchownie i bez cech artyzmu istotnego. P. *Malecki* nieważnie dobre i złe chwile natchnienia. P. *Alexandra Świeżewskiego*: „Po deszczu przy zachodzie słońca“ jest ładną fantazyą kolorystyczną, świadcząca o wirtuozostwie pędzla, wybornie odczuwającego wdzięk efektów światła. „Łąka“ p. *Bolesława Łaszczyńskiego* jest również ciekawym studium z natury, dostrzeżonej w pewnym nateżeniu swia-

ła złocego jaskrawo jesienne niwy. Tu wreszcie należy „Poranek“ p. *Dowgirda*, tudzież dwa studia p. *Edmunda Perlęgo*: „Przed karczmą“ i „Przed kuźnią“, malowane z temperamentem i dobrze uwydatniające charakter chwili.

Duży „Portret dziecka“ p. *Kazimierza Mireckiego* celuje tylko estetyczną wybrednością szczegółów tła; samo zaś dziecię o blond włoskach, z lalką w ręce jest malowane nienaturalnie i niesmacznie; cera nie ma życia i miękkości; cienie ostre, linie i ruchy sztywne; rysunek w ogóle zły. Dwa studia z natury p. *Kazimierza Alchimowicza*: „Włoszka“ i „Głowa dziecka“ celują plastycznym wydobyciem charakteru, siłą tonu i śmiałym modelowaniem. P. *Maryi Dulebianki*: „Portret kobiety“ dojrzałej, w czarnej sukni, świadczy o zdolności psychicznego pogłębiania wyrazu malowanej osoby, o pewnej samodzielnej sile kolorytu; wszakże modelowanie postaci wiele pozostawia jeszcze do życzenia. P. *Mireckiego* wielki „Portret kobiety“, ubranej w suknię wisiwnią, opartej na poduszce u poręczy fotelu, nie ma wyrazu i duszy; poza fałszywie obmyślaną; brak artystycznego zlania się cieniów ze światłem; ztąd całość wydaje się ostrą, chłodną i nienaturalną. — Zdolny portrecista lwowski, p. *Andrzej Grabowski* nadesłał wielki portret „Prowincyała OO. Bernardynów“, celujący niepospolitą energią pędzla i siłą charakterystyki. Najcelniejszym wszakże dziełem tej kategorii jest wielki „Portret kobiety“ p. *Władysława Czachórskiego*, znanego zaszczytnie twórcy „Hamleta z aktorami“. Piękna, myśląca, wysmukła szatynka, ubrana w czarną jedwabną suknię z wylotami, podbitymi aksamitem blade niebieskim, z wiazkami niezapominajek we włosach i u gorsu — jest pod względem układu postaci, szlachetności linii, smaku wykonania, wdzięku pędzla, subtelności jedwabnych połysków na sukni, miękkości karnacyi, znakomitem dziełem malarstwa portretowego. Liczni miejscowi portreciści powinni uważnie studiować ten obraz pana Czachórskiego, malowany z taką prostotą, a tak wykwiśniętym w wyższym artystycznym stylu.

Zanim opuścimy salon Towarzystwa, zwrócimy jeszcze uwagę na zawieszony tamże przed paru dniami obraz p. *Ludwika Kurelli*, przedstawiający: „Kwestarza“, w habitie mnisim, wchodzącego do chaty wiejskiej, gdzie zastaje kobietę, pełnych i dojrzałych kształtów, z dzieckiem. Obrazy p. *Kurelli*, cieszące się wielkim pokupem i rozgłosem zagranicą, rzadko docierają do Warszawy. Szlachetna kompozycja, siła i oryginalność charakterystyki, świeżość motywów rodzajowych, miękkie, łagodne i artystycznie ustosunkowane kolory: stanowią wysokie zalety tego pięknego dzieła.

W salonie Ungra od dłuższego czasu zwraca na siebie uwagę obraz p. *Alexandra Mroczkowskiego* wielkich rozmiarów: „Kulig“. Jest to, o ile wiemy pierwsze dzieło utalentowanego malarza krakowskiego, z szerszą i barwniejszą treścią. Dotychczasowe prace jego, głównie pejzaże, świadczyły o żmudnym łamaniu się artysty z trudnościami techniki, a chromały zwykle najwięcej kolorytem fikcyjnym, niemającym jeszcze tego przekonującego tonu natury i tej ciepłej duszy, która krajobrazem nadaje wdzięk życia. Dzisiejszy obraz Mroczkowskiego jest popisem zarówno dla daru kompozycji, jak i techniki malarskiej. Popis ten wypadł niespodziewanie dobrze i obiecująco na przyszłość. Artysta owaładnął przestrzeń, rysunkiem i tonem; co tu widzimy, nie jest już mozolnym pasowaniem się, ale owocem odniesionych zwycięstw. Ztąd też wyraz świeży i czerstwy obrazu; znać, że wyobraźnia nie zjałowiała jeszcze w wyrafinowanej i nazimno tworzącej rutynie, że to wszystko, co się znalazło na płótnie, wyszło z kipiącej fantazyi, ze szczerego zapału, z twórczej werwy artystycznego temperamentu. Malarz nie ma jeszcze przeszłości poza sobą, ale ten obraz — oto pierwsza zdobycz niewątpliwa i stanowcza teraźniejszości, to zajęty bohaterką brawurą grunt ponad nogami, na którym dalej i wyżej budować można i potrzeba. Jakże się przedstawia ten walecznie zdobyty posterunek?

Jesteśmy na podwórzu wiejskiego dworku za możnego szlachcica; dworek modrzewiowy w patryarchalnym odwiecznym stylu, z facyatką ozdobioną wizerunkiem Matki Bożkiej Częstochow-

skiej; na ganek jego wyległa teraz cała załoga rodzinna wraz ze służbą i domownikami, bo oto na dziedzińcu zajeżdża rażno i zgiełkliwe kulig sąsiedzki. Rzecz dzieje się o zmroku mieszającym swe błękitno-szare całuny ze strugami żółtego światła, wylewającego się przez okna dworku, w którym zebrało się już grono gości z okolicy, oczekujące zapowiedzianego kuligu. Służba wyniosła kielichy i roztruchany na ganek: jeszcze przed wejściem do świetlicy goście wychylą serdeczne toasty, przy podniecającym odgłosie żydowskiej kapeli, która ochoczo rzempoli pod gankiem. Jeden z kawalerów przybyłych wysadził już ze sanek strojną damę i społem witają gospodarza, który wraz z pulchną jejmością w błękitnym szlafrocuku, i z wesołą gromadką hożego potomstwa, wyszli naprzeciw i z otwartymi ramionami przyjmują miłych przybyszów. Inny kawaler zakrztał się około wysadzenia z ładniutkich i zgrabnych sanek dwóch innych dam, ubranych w rokokowe kostiumy. W głębi wjeżdża drugi zaprzęg, a towarzyszą mu jeźdźcy na koniach, jedni w kontuszach, inni przybrani wedle mody wersalskiej. Na prawo rezydentka spiżarni i piwnicy powraca właśnie z pobliskiego lochu, a za nią i przed nią parobcy dworscy dźwigają kosze i antałki z trunkami. Trunki stare, bo antałek węgrzynia nosi datę z początku XVII wieku. Staruszka z latarką w ręce przystanąła na widok cudackiej „maszkary“ i z poczciwym uśmiechem poblazania przygląda się kawalkadzie. W głębi podnosi się krajobraz w górę i rysuje w gęstym zmroku lekkie rozwiewne kontury wioski; po gościńcu pędzą nowe zaprzęgi zaledwo już widzialne wśród nocy. W górze na ciemnoszafrowym tle iskrzą się gwiazdy; czuć w powietrzu trzaskający mróz. Kompozycja obrazu, jak widzimy, obfituje w malownicze grupy i zajmujące szczegóły. W rozłożeniu licznych figur panuje fantazyja i pomysłowość tworząca swobodnie, a co ważniejsza, jasno i logicznie. Każda z postaci wydobywa się plastycznie z tłumu; pomimo mnogości figur niema natłoku i chaosu. Charakterystyka tych figur powiększej części typowa, zawsze sympatyczna i szczęśliwa; styl obrazu wiernie oddwarza fizioznomia obyczajową XVIII wieku; łączy się tu serdeczność staropolska z galanterią sasko-francuzką. Figury nowe przeprowadzone umiejętnie; pomimo silnego nacisku, jaki malarz położył na malowniczą barwność i zalotną ozdobność kostiumów, nigdzie nie stać ludzka nie ginie pod suknią, ale siłą, dosadnością i wdziękiem charakterystyki wyrasta ponad nią i stwierdza swą indywidualność. Na szczególną uwagę zasługują typowe postaci szafarki i służki dworskich. Koloryt świeży, silny i soczysty, ze smakiem i poczuciem tonu szarmonizowany. Do najszcześniejszych efektów obrazu należy ów krajobraz nocny w głębi, z którego wydobyl artysta z niezmierną subtelnością pędzą wiotkie zarysy chat wieśniaczych i sanek pędzących. Podobne to do majaczeń sennego widzenia, porywającego wyobraźnię. Jak widzimy — wiele, bardzo wiele da się dobrego powiedzieć o najnowszym obrazie p. Mroczkowskiego, który wyprowadza artystę odrazu z szarego końca na pierwszą linię młodej drużyny naszych utalentowanych malarzy, zawdzięczających rychłe rozwinięcie wrodzonych zdolności szkole krakowskiej i mistrzowi jej, Matejce. Wytworzenie szkoły, stwierdzającej wpływ swój tak pięknymi wynikami, należy do zasług znamenitego artysty niemiejszych od „Grunwaldu“ i „Kazania Skargi“.

Salon p. Krywulca szczyt się obecnie posiadaniem najcenniejszego może obrazu, jaki w tym roku wyszedł z pod pędla rodzimego. Jest to płótno wielkich rozmiarów *Hipolita Lipińskiego*: „Przed pro-

cessyą w Krakowie“. Kierunek talentu dzielnego artysty krakowskiego, nachylony ku malarstwu rodzajowemu, ku typom ludowym i mieszczańskim, wskazał mu przedmiot, wybornie nadający się do rozwinięcia zalet, które stanowią, że tak powiem, siłę elementarną jego pędza. *Processya* kościelna zgromadziła tu całą galeryę figur typowych z późniejszych warstw społecznych, której naturalną malowniczość podniosła barwna scenerya obrzędu kościelnego. Obraz nie wskazuje bliżej; z jakiego czasu artysta zamierzył wyjąć swój motyw; czy to obraz rodzajowy współczesnej chwili, czy też wykrojony z przeszłości? Kontusze ce mistrzów kazałyby przypuszczać drugie, współczesne wszakże sukienki dziewcząt niosących obraz i syjących kwiaty przemawiają za współczesnością. Temu ostatniemu przypuszczeniu nie przeszkadzają kontusze, gdyż *processya* odbywa się w Krakowie, a tam mieszczaństwo, wierne tradycyi, przybiera do dzisiaj w dni świąteczne i obchody uroczyste kostium historyczny. Z kilku bram i furt kościoła wylewa się barwną strugą lud pobożny; wynoszą chorągwie i inne godła kościelne; mistrzowie ceremonii niosą też swoje zaszczytne symbole. Przed kościołem roi się bujna gromada ludzi; *processya* widocznie dopiero się szykuje; lud w grupach utworzył szpaler, którym uczestnicy pochodu poczynają się przesuwac. W tych grupach pomieścił artysta wyborne sylwetki charakterystyczne, a rozrzucił je z malowniczym zmysłem i smakiem w układzie. Plan szeroki zapełnił życiem pełnem swobody i fantazyi; figury dobrał zajmujące swym charakterem indywidualnym i nastroił je na ton jednolity: świątecznego usposobienia i namaszczonej powagi. Obraz malowany realistycznie; artysta nie łowił żywiołów piękna, nie dobierał ładnych kobiet, jak Makart w „*Karolu V*“: to też obraz jego nie stał się estetyczną fantasmagorią, lecz zachował znamiona i zarysy szczerzej prawdy życia. Oddychamy atmosferą mieszczańsko-ludową, — trudno o prawdziwszą fotografię chwili w kształtach, jakie nadała jej tradycya. Obraz *Lipińskiego* zajmuje przeto widza, i jako ciekawy rys kultury obyczajowej ludu, i jako wybór typów danego społeczeństwa w niższych jego warstwach. Bogatą, ładną i malowniczą sceneryą obrazu skąpał malarz w jasnym świetle dnia słonecznego, które wydobyl plastycznie kształty i tony barwne, podłożone silnym, soczystym pędzlem. Koloryt obrazu jest niewątpliwie jaskrawy, wszakże nie widzimy w tym kierunku przesady; hoży i promienny charakter jego licuje dobrze z nastrojem, jakim napawa akt *processyi* niższe sfery ludowe. Jedyna to chwila aż doniedawna, w której lud, przynajmniej w czcigodniejszych swych jednostkach, coś reprezentował, coś znaczył, jakąś grał rolę publiczną. Braciszek cechowy, niosący chorągiew kościelną, poczuwał się w missyi poważnej, czuł na sobie spojrzenia tłumu, rósł i szlachetniał we własnych oczach. To zadowolenie z siebie rozpromienia zwyczajnie oblicza przodujących uczestników *processyi* — z tem wewnętrznym rozpromieniem wiąże się też harmonijnie jasny, *prawie* jaskrawy, a przedewszystkiem wesoły i czerstwy koloryt obrazu *Lipińskiego*. Dzieło najświeższe utalentowanego twórcy dwóch „*Targów*“ krakowskich zdobędzie sobie z pewnością uznanie zagranicą, a zwłaszcza w Niemczech.

P. *Antoniego Gramatyki*: „*Spowiedź Robaka*“ jest dziełem poważnie traktowanym, osnutem na tle tragicznej powieści Mickiewicza. Postać mnicha-żołnierza pojęta szlachetnie i psychologicznie bystro zglębiona; dobór szczegółów, atmosfera obrazu podnoszą tajemniczy charakter chwili. Malowanie wytrawne, troskliwie wypracowane, wy-

kwintne i w surowym tonie — tak dobrze licującym z ponurą sytuacją — jednolicie utrzymane. Kompozycja spokojna i wysoce estetyczna.

Wszystko, cośmy p ochlebnego zdołali powiedzieć o „*Żółkiewskim pod Cecorą*“ p. *Witolda Piwnickiego*, traci zastosowanie do „*Jeńców*“ tegoż artysty. Z wyjątkiem niektórych motywów kompozycyi, kilku głów dobrze pomysłanych, wszystko tu błędne, chorobliwe i niesmaczne. Figury źle rysowane, koloryt powleczoney jakąś miedzianą śnieżką, która ztraca świeżość i charakter tonu, affektacya w nastroju psychologicznym, a brutalność pospolita: oto nieartystyczne przymioty malowidła, które uważamy za plód poroniony zdolnego zresztą artysty. P. *Zygmunta Papińskiego*: „*Bańki mydlane*“ są dobrem studium z natury, zasobnem w humor i werwę charakterystyki, a malowaniem ze zdrowym realizmem jedrznego pędza. P. *Tadeusza Ajdukiewicza* „*Czumaki*“ tchną właściwym swojemu twórcy temperamentem; ton mają świeży przy kompozycyi swobodnej i malowniczej. P. *Wacława Koniuszki*: „*Żebrak*“ należy do prac sumiennych i poprawnych pod względem techniki malarzkiej. Obraz p. *Witolda Proszkowskiego*: „*Mogila*“ posiada wdzięk i expressyą dramatyczną, malowany z piętnem oryginalnej manieri i dobrym smakiem. P. *Bolesława Łaszczyńskiego*: „*Osada rybicka w Sorrento*“ jest cackiem kolorystycznym. O dużym portrecie „*Marszałka Zyblikiewicza*“ malowanym przez p. *Wojciecha Kossaka* to tylko powiemy, że jego „*Manewra kawalerji*“ podobają nam się o wiele lepiej.

Kończymy wzmianką (dla pamięci) o wystawie prywatnej galeryi obrazów p. *Felixa Gebethnera* w sali Resursy Obywatelskiej, urządzonej na rzecz Towarzystwa Muzycznego. Zbiór ten składa się ze 170 obrazów olejnych, akwarelli, rysunków kredkowych i t. p., wyłącznie swojskiego pochodzenia, szkoły współczesnej. Wiele tam rzeczy cennych i ciekawych. Począwszy od *Matejki* („*Czytanie wyroku*“), wszyscy nieomal artyści krajowi znaleźli się w tej powabnej, intelligentnie dobranej galeryi. Pan *Gebethner* zasłużył się społeczności swojem mecenasowstwem sztuki, które posłużyło już za bodźca niejednemu początkującemu talentowi. Gdyby znalazł naśladowców, sztuka rodzima rozwinęłaby się szybciej, pod wpływem takiej dźwigni, aniżeli za sprawą „*salonów*“. Aby malarstwo rosło i wyrabiało się u nas, nie dosyć jest za kilkanaście groszy rozglądać się platonicznie po wystawach: potrzeba nie skąpić artystom materalnego poparcia w nabywaniu ich dzieł. Rozumie to p. *Gebethner*, i w tem jego zasługa. Sądzimy wszakże, iż to prawda tak przystępna, że zrozumieć-by ją mógł zamożniejszy ogół — a nie tylko odosobnione jednostki. Powiadają nałogowi pesymisci, że mało pieniędzy jest w kraju. To fałsz — zaświadczy choćby — p. *Mierzwiński*.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszczu*“ dołącza się początek nowelli pod tyt.: *Bracia*.

Ogłoszenia do **BLUSZCZU** przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy **BERNARDA BERSOHN** w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Pogawędka.. — Ostatni list, przez A. Ch..... — Mikołaj Sęp Szarzyński, studium, (dalszy ciąg), przez Wiktora Czajewskiego. — Nowiny parzyckie. — Rzut oka na stowarzyszenia rzemieślnicze, (dokończenie). — Przegląd artystyczny, (dokończenie), przez Bronisława Zawadzkiego.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Августа 1881 года.

BRACIA

NOVELLA

przez

MARYĘ ZOFIĘ SZWARC

przekład ze szwedzkiego.

W r. 1862 pewnego bardzo pięknego wieczora w miesiącu lipcu, przybyłam do Kreuznach.

Miasto to jest ze trzech stron otoczone górami, które w pewnych odległościach tworząc coś na podobieństwo tarasów, jaśnieją przepychem obfitych winorośli. Na wschód od miasta ciągnie się bogata roślinnością płaszczyna, której granice nikną na odległości jednej mili, u stóp malowniczego łańcucha gór. Rzeka Noche przerywając wążykowato krajobraz, dzieli Kreuznach na dwie części, stanowiące stare i nowe miasto.

Okolice Kreuznachu musiały już być znane za czasów rzymian, utrzymują bowiem niektórzy, że naród ten na dwanaście lat przed Narodzeniem Chrystusa, za Klaudyjusza Druzusa, posiadał w Bingen twierdzę obronną, dla swych wojennych zakładów; jest nawet przypuszczenie iż mury znajdujące się obok miasta, jego są dziełem.

Nieco później germanowie opanowali to miejsce, dopóki nareszcie i ci w r. 449, nie zostali ztąd wyparci przez frankońskiego króla, Klodowusza. Od tego też zapewne czasu datuje założenie i nazwa Kreuznachu, która według tradycji odnosi się do pierwszego krzyża (Kreuz) wzniesionego na wyspie.

Wkrótce przybyli mnisi w te strony i jak powiada podanie, odprawiali pobożne pielgrzymki przez las do wyspy, nawracając do uczczenia krzyża młodych i starych.

Tam więc, gdzie przedtem znajdowały się nędzne chaty, powstało z czasem miasto, nazwane od stojącego na wyspie krzyża Kreuznachem.

Utrzymuje się mniemanie, że Ludwik Pobożny często przebywał w Kreuznach; nie wiadomo jednakże gdzie się znajdował zamek, zwany Osterburgiem; gdyż tenże w r. 893 został zniszczony przez normandów.

Podczas wojny trzydziestoletniej, zagrażało kilkakrotnie temu miastu zupełne zniszczenie. W r. 1620 było ono oblegane przez hiszpanów, w 1631 silnie obsadzone przez Gustawa Adolfa, a nare-

szcze w 1639 zostało wzięte szturmem przez dowódcę szwedzkiego wojska Bernarda księcia weimarskiego.

Kreuznach sam ze względu swej powierzchowności, mnóstwa krzywych i wązkich uliczek i staroświeckich budynków, nie wiele powabu przedstawia dla przybywających, którzy się tu letnią porą gromadzą ze wszystkich krajów, z powodu leczniczych źródeł i kąpiel. Jedynym przedmiotem godnym uwagi, jest krzyż, znajdujący się tu w jednym z kościołów, zwanym Wirthkirche.

To czego nie dostaje miastu pod względem ozdoby, zastępuje okolica, która przez swe urozmaicenie i wdzięk przyrodzonego przepychu, czyni Kreuznach jednym z najprzyjemniejszych miejsc w Europie.

Na tak zwanej Wyspie, znajduje się źródło, ku któremu spieszą niezliczeni kąpielowi goście w nadziei odzyskania sił i zdrowia.

Dzień w którym rozpoczęłam moją kurację w Kreuznach, stanawszy z kubkiem, pomiędzy mnóstwem innych osób, był bardzo pogodny.

Cały plac otaczający źródło roił się od ludzi.

Można tam się było nasłuchiwać wszelkiego rodzaju języków. Zapijano słonawą wodę, przechadzano się, wypoczywano, lub też słuchano muzyki.

Tu i owdzie tworzyły się kółka towarzyskie rozmaitej narodowości.

Tutaj gromadka francuzów skupiła się około pięknej i wytwornej pani N. która pomimo swego galijskiego pochodzenia, zaślubiła holendra. Tam znowu przechadzała się szpetna, lecz błyszcząca przepychem księżna G... przybyła z Moskwy, nieco dalej żywa margrabina D. żartowała i śmiała się wesoło w tem samym otoczeniu, wpośród którego poważna lady H... z wielką godnością i prawdziwie angielską sztywnością, rozmawiała z jednym ze swych rodaków. Po za tem

towarzystwem, dwaj jacyś panowie, wraz z damą postępującą pomiędzy niemi, zatrzymali się dla przeczytania dziennika, w którym choiwie chwytali wiadomości z rodzinnych stron w Ameryce. W pewnej odległości kilku włochów z ognistym zapalem, rozprawiło o Garibaldi, a tuż przy samym źródle stali jacyś szwedzi najspokojniej wypróżniający swoje kubki, podczas kiedy cały rój Niemców przesuwiał się około nich, głosząc z zachwyceniem pochwały, czarujących wdzięków, okolicy Kreuznachu.

Z gwałtownym zawrotem głowy, wymknęłam się z pomiędzy tego ścisłu ludzi i istic babilońskiej mieszanki języków i wydostawszy się z placu otaczającego źródło, skierowałam moje kroki na lewo ku brzegom rzeki.

Doszedłszy tam, nie przestawałam się przechadzać wolnym krokiem, zatrzymując się jedynie od czasu, do czasu, dla przypatrzenia się winnicom rozciągającym się po drugiej stronie, które zdawały się tworzyć łańcuch czujnej straży, strzegącej doliny, wpośród której leży Kreuznach.

Skoro dosięgnęłam już końca drogi, łączącej się z jedną z ulic miasta, skręciłam napowrót ku źródłu i nagle ujrzałam naprzeciwko siebie dwie panie, z których jedna była znacznie starszą od drugiej.

Są twarze ludzkie, które na pierwszy rzut oka, pozostawiają w duszy niezatarte wrażenie. Do takich należała właśnie twarz starszej z tych dwóch kobiet. Nie uderzała ona wprawdzie pięknnością, ani śladami minionego powabu, ale raczej wyrazem, jaki na niej pozostał wyrytym.

Każdy rys, każda linia, zdawała się przemawiać iż życie jej musiało uleść kiedyś, jakiejś niszczącej burzy.

Młoda paniątka postępująca przy jej boku, śmiała się i rozmawiała ze swobodą właściwą swemu wiekowi. Nie słyszałam wprawdzie tego co mówiła, widziałam jednakże, iż starsza dama żywcem się uśmiechała do ujmującego dziecięcia.

Uśmiech ten zawierał całą historję życia. Spoczywał on na ustach, ale nie pochodził z serca. Był łagodny, a jednak zimny, uprzejmy i jednocześnie niezmiernie smutny.

Przyszedłszy nazajutrz rano do źródła, starałam się znaleźć wśród tego roju ludzi, osobę która dnia poprzedzającego wzbudziła we mnie takie zajęcie. Znalazłam też wkrótce to, czego szukałam. Skoro towarzysząca jej panienska wypróżniła swój kubek, opuściła plac otaczający źródło, i wraz z nią udała się ku brzegom rzeki. Poszłam za niemi i usiadłam na jednej ze znajdujących się tamże ławek. Przechadzały się one ciągle w jedną i drugą stronę, nastęrczając mi sposobność do przypatrzenia się tej melancholijnej twarzy.

Ścigając oczyma jej rysy, odtwarzałam sobie w mojej rozbudzonej wyobraźni dzieje jej życia. Musiała ona być zapewne nieszczęśliwą jako matka. Śmierć pozbawiła ją wszystkich dzieci, z wyjątkiem tego jednego, co postępowało przy jej boku, dla którego teraz znosiła męczarnie życia.

W ten sposób mniej więcej malowałam sobie obraz jej przeszłości, nie będąc jednak zadowolona z moich przypuszczeń. Nieznajoma była podobną do książki, której nagłówek wzbudza ciekawość, ale treść pozostaje nieznaną.

Po godzinie przechadzki powróciły do źródła, a jednocześnie z niemi podniósł się ktoś siedzący na ławce. Teraz dopiero spostrzegłam, że obok mnie znajdował się tam poprzednio jakiś mężczyzna.

Był to człowiek szczególnej powierzchowności. Twarz jego była tak dalece opalona od słońca, iż wydawała się prawie miedzianą, chociaż o ile można było zmiarkować, nie była to jej właściwa cera, ponieważ ciemne włosy, ani jednym cieniem nie przypominały bruneta, a zarost podbródka, był nawet zupełnie jasny. Oczy były osadzone głęboko, poniżej krzaczystych brwi i na pierwsze spojrzenie wydawały się posępne, chociaż przy bliższej uwadze, zastanawiały swoją łagodnością.

Powstając z ławki, westchnął głęboko, i puścił się w ślad za odchodzącymi paniami drogą ku źródłu.

Pomimo najgorliwszych zabiegów z mojej strony, przez parę dni nie mogłam się dowiedzieć o nazwisku nieznanego.

Uczyłam jednak to spostrzeżenie, iż powyżej opisany mężczyzna, tak samo jak ja spędzał całe godziny na przypatrywaniu się nieznanemu, pozostając zawsze w pewnej od nich odległości, tak jakby się obawiał stracić je z oczu.

Naturalnie nasunęła mi się przytem sama z siebie ta uwaga, że ów jegomość z krzaczystymi brwiami, musiał być pomimo swoich lat czterdziestu, szalenie rozkochanym w młodej panience.

Pomyślny jednak wypadek miał mi prędzej, niż się spodziewałam, ułatwić znajomość z obydwiema temi paniami, stawiając mnie od razu na pewnej stopie zażyłości.

Mieszkałam wówczas w hotelu Webera, znajdującym się po lewej stronie za mostem, niedaleko miejsca przechadzki dla pijących wody.

Hotel ten, obejmujący bardzo rozległy budynek, piękny i wygodny, jak prawie wszystkie w Kreuznachu, był w owej porze przepelnionym prawie napływowemi gośćmi.

Za granicą mało kto troszczy się o swoich sąsiadów, pozostając najczęściej w zupełnej niewiadomości, nie tylko co do ich postaci, ale i do społecznego stanowiska.

Pewnego razu, kiedy już bardzo późnym wieczorem siedziałam samotnie, na balkonie mojego mieszkania, zostałam nagle wyrwana z zamyślenia, przez jakąś młodą kobietą wpadającą do pokoju, w której ku wielkiemu zdziwieniu, poznałam córkę owej nieznanomej co we mnie wzbudziła tak głębokie zajęcie.

Przemówiła ona do mnie bardzo płynną niem-

czyzną, zaklinając ażebym się czempredzej udała do jej pokoju, gdzie jedna z sąsiadek niespodzianie zasnęła.

Poszłam za nią natychmiast i nie mogłam ochłnąć ze zdumienia, przekonawszy się, iż nie tylko mieszkałyśmy w tymże samym hotelu, ale nawet na jednym piętrze.

Stanąwszy w pokoju, zastałam matkę młodej pani, zajętą niesieniem pomocy, jakiejs starej kobiecie, wijącej się w kurczach na podłodze.

Wezwano lekarza i po niedługim czasie, odprawiliśmy chorą, jedną ze starszych cudzoziemek mieszkających w tymże samym hotelu, do jej własnych pokoi.

W skutek tego wypadku zawiązała się znajomość pomiędzy nami.

Starsza z dwóch pań, nazwiskiem Spindler, przyjechała do Kreuznachu z Berlina, z powodu młodziuchnej kuzynki Ludwiki, wychowanej przez nią w miejsce własnego dziecięcia, której lekarze zalecili tamtejsze wody.

Powtarzam tu w krótkich słowach wszystko co mi opowiedziała o sobie.

Poprzyjaźniwszy się z sobą, przebywałyśmy odtąd prawie ciągle razem i mogę przyznać iż niewiele zdarzyło mi się napotkać osób, któreby tak jak owe dwie nieznanome odpowiadały całkowicie moim upodobaniom. Z czasem dowiedziałam się także, iż ów opalony mężczyzna, którego zawsze można było napotkać w pobliżu Ludwiki, był jakimś angielskim kosmopolitą, co obiegłszy prawie całą kulę ziemską, przyjechał do Kreuznachu, szukać lekarstwa na swoje podagryczne cierpienia.

Uchodził on za niezmiernie bogatego, gdyż w całym znaczeniu tego wyrazu garściami wyrzucał pieniądze. Zresztą unikał wszelkiej styczności z osobami goszczącymi w Kreuznachu, tak iż niepodobna było z nim zawrzeć bliższej znajomości.

Dni w Kreuznachu upływały mi bardzo szybko, tak iż ani się spostrzegłam, jak przeminięły trzy tygodnie. Nie pozostało mi już zatem więcej nad dwa, po których trzeba się było pożegnać z miłymi sąsiadkami.

— Czy nie uważałaś pani nigdy tego człowieka, którego można zawsze napotkać, ile razy tylko pokażesz się na przechadce z Ludwinią? zagadnęłam pewnego rana panią Spindler.

— O! nie, bynajmniej! odpowiedziała spojrzawszy mi z zadziwieniem w oczy.

— Proszę się tylko obrócić, a ujrzysz go pani natychmiast na tamtej ławce.

Pani Spindler zmierzyła przelotnem spojrzeniem nieznanomego i odrzekła poważnie:

— Być może, iż zajęła go piękność mojej Ludwini, choć już dawno przekroczył ów wiek, w którym miłość wywiera wpływ na życie ludzkie. W każdym razie nie może on być dla niej niebezpiecznym.

Ta uwaga, nastęrczyła nam powód, do rozmowy o namiętnościach ludzkich.

Pani Spindler wyrażała się w ten sposób, iż nie trudno się było domyśleć, że i w jej życiu namiętności odegrały ważną rolę.

— Czy wiesz pani, przemówiłam do niej, że wprzód nim miałam przyjemność cię poznać, powierzchowność twoja wywarła na mnie tak głębokie wrażenie, iż zapragnęłam daru czytania w księdze przeszłości, ażeby z niej się dowiedzieć okoliczności dotyczących twojego losu. W miarę coraz większego zbliżenia pomiędzy nami, pragnienie to, stawało się coraz żywszem, tak iż w tej chwili dałabym bardzo wiele za to, żebym mogła usłyszeć dzieje twojego życia.

— A to dla czego? zapytała z bolesnym uśmiechem.

— Dlatego że doświadczenia przez jakie przejść musiałaś, naznaczyły niezatartą cechą nie tylko twarz twoją, ale i całą postawę.

— Nie byłoby w tem, nic dziwnego, gdyby tak było rzeczywiście! To powiedziawszy westchnę-

ła, dodając po chwili: Przed naszym rozstaniem wypełnię twoje życzenie, opowiadając ci, krótkie lecz bolesne dzieje mojego życia!

W tej chwili dalszy ciąg rozmowy przerwało nam nadejście Ludwiki, powracającej z jakiejs wycieczki którą odbyła w towarzystwie kilku swoich przyjaciółek, równie przybyłych z Berlina.

W parę dni później, kiedy Ludwika znowu się wybrała do Wiesbadenu, pani Spindler namówiła mnie do uskutecznienia, kilkakrotnie dotąd odkładanej przechadzki, mającej na celu zwiedzenie Rheingrafensteinu, nader zajmującej ruiny starego zamku, położonej o jaką godzinę drogi od Kreuznachu.

Przyjęłam z gorącym uniesieniem ten projekt, zrobiwszy jedynie uwagę, iż byłoby prawdziwym grzechem pozbawiać Ludwikę, która tak serdecznie pragnęła poznać te rozwaliny, przyjęcia udziału w naszej wycieczce.

— Nie, odpowiedziała pani Spindler; Ludwika nigdy w moim towarzystwie nie będzie oglądała tych rozwalin, mam bowiem pewne uprzedzenie, które mi nie pozwala tam jej zaprowadzić; zrozumiesz to lepiej moja przyjaciółko skoro staniesz obie na miejscu.

Trudno było powiedzieć coś wbrew jej zdaniu i wkrótce zgodziłyśmy się obie na to, że natychmiast po obiedzie wybierzemy się w drogę.

Najwyższy wierzchołek tego grzebienia gór, zwany Gęsią, strzeże ogromnej skały na której wznoszą się rozwaliny Rheingrafensteinu, mogąc posłużyć za jeden z najdzielniejszych dowodów wszechmocności i wielkości Bogu objawionej w dziełach przyrodzenia. Przypomina on nam owe czasy, kiedy nasza planeta, miała postać zupełnie odmienną od dzisiejszej.

Ów wierzchołek jest zbiorowiskiem odrębnych mass plutonicznych, które zostały wyrzucone z najgłębszych wnętrzości ziemi, w skutek parcia jakiejś podziemnej siły i na tej dolinie zwały się, tworząc skały olbrzymie.

Widok z tej zdumiewającej góry, jest nad wyraz zachwycający.

U stóp tych skał niebotycznych, spieniony strumień rzuca się spieszac ku pięknemu Münsterowi, po za którym ukazuje się część Kreuznachu.

Po prawej stronie Münsteru, występuje potężny Rothenfels, ze swemi niezliczonymi wysokkami, zaostreniami i rozpadlinami, mieniącymi się wśród barw najróżnorodniejszych, poczynawszy od purpury, aż do zieloności. Dalej na lewo, widni otoczony wzgórkowatemi winnicami Norheim, wspierający się niejako na Rothenfelsie; potem zaś oczy i umysł ludzki toną całkowicie w ruinach Ebernburga. Na najodleglejszym punkcie, widać Johannisberg i Wiesbaden. Wszędzie kiedy tylko zwrócić spojrzenie, ciągnie się urozmaicona panorama lasów, winnic, zielonych łąk, kwiecistych pagórków, uroczych dolin, ludnych wiosek i zabytków minionych wieków.

Był to obraz przecudny, który wywarł na mnie zdumiewające wrażenie, rysując się na zawsze w duszy głoskami niezacierających się nigdy wspomnień.

Nasyciwszy się nim dowoli, zeszyliśmy drogą wiodącą na prawo, ku górze na której się znajdowały ruiny Rheingrafensteinu.

Po dość utrudzającej wędrówce, wydosłałyśmy się nakoniec na rodzaj tarasu, utworzonego w wyższej części rozwalin.

Podziw i zdumienie jakie ogarniają umysł, na widok szczątków tego zamku, wzniesionego niegdys na szczycie prostopadłej skały, zawieszanej nad przepaścią, nie dadzą się określić słowami.

Na samym szczycie ruin, w miejscu gdzie gruz twarzą prawdziwy taras, wznosi się mały krzyż żelazny.

Uwaga moja została tak całkowicie wyczerpaną tym mnóstwem niezwykłych widoków, że zupełnie zapomniałam o znajdującej się obok siebie towarzysze.

Nakoniec obróciłam się ku niej z zamiarem rzucenia kilku pytań, ale te zamarzyły mi na ustach skorom ją ujrzała napół bezsilnie wspartą o krzyż żelazny. Siedziała ona na ziemi wyczerpana znużeniem, z głową mdlejąco pochyloną ku pierścionom.

— Cóż ci to, czyś nie słaba kochana przyjaciółko? zapytałam przerażona.

Pani Spindler podniosła głowę, zwracając na mnie swe piękne wymowne oczy.

— Nic mi nie jest! odrzekła. Nie uważaj na słabość jaka mnie ogarnęła, na widok miejsc których nie widziałam od tak dawna. Tu na tem miejscu igrałam niegdyś jako dziecię, przysłuchując się starym podaniom, opowiadanym w tym zamku. O! ileż ja tu przeżyłam dni szczęścia i niedoli.

— A więc mieszkałaś niegdyś w tych stronach? przerwałam żywo.

— Tak jest, wykołysałam się na dolinie, leżącej u podnóża tej góry.

Po tych słowach nastąpiło milczenie. Czulałam dobrze, iż nie wypadało mi zadawać pytań, dotyczących ubiegłego życia mojej towarzyszki. Po chwili więc odezwałam się do niej:

— Czyliż te ruiny mają jakąkolwiek historję?

— O! tak, jakkolwiek pod względem historycznym jest ona niezmiernie niedokładną. Ale ten brak wynagradzają właśnie niezliczone podania, krążące o tem zamczysku, jedne cudowniejsze od drugich. Właściwa data jego założenia jest niewiadomą. Pierwsze pewne wiadomości sięgają 1282 roku, kiedy Rheingrafowie po bitwie pod Spredlingiem i zburzeniu ojczystego zamku Rheinberga, zbudowali Stein w tem miejscu. Pomimo pozornej nieprzystępności, twierdza ta była kilkakrotnie oblegana i zdobywana od nieprzyjaciół. Ostatecznie zburzyli Rheingrafenstein Francuzi, w r. 1689 i od tego czasu, pozostał on już tylko ruiną, podobną do poosepnego upioru, strzegącego wierzchołka tej skały.

— A jakież to są owe podania, krążące o tym kamiennym upiorze?

— O! są one zbyt liczne, ażeby je można odrzuć powtórzyć, ale opowiem ci jedno z nich, które w młodości wywarło na mnie niegdyś wielkie wrażenie i odegrało do pewnego stopnia rolę w mojem życiu. To podanie jest tak ściśle związane z memi cierpieniami, iż jednocześnie z niem mogę ci opowiedzieć historję własnego życia, dotrzymując w ten sposób danego przyrzeczenia. Miejsce, na którym się znajdujemy, wydaje mi się nader stosownem do okoliczności i jeżeli nie będziesz miała nic przeciwko temu, mogę natychmiast rozpocząć moje opowiadanie.

Zapewniłam ją, iż najzupełniej zgadzam się z jej zapatrywaniem i usiadłszy na omszonym kamieniu, wysłuchałam opowiadania, które tu nazwę: „Opowiadaniem o zamku Rheingrafensteinie“.

„Rodziców utraciłam w bardzo młodym wieku; powiedziała na wstępie Selma Spindler. Mieszkała ona tam poniżej, na dolinie zwanej Kuttenthal, rozciągającej się u stóp tej góry.

Po ich śmierci nie pozostało nic więcej oprócz długów.

Brat mojej matki, Konrad Spindler, mieszkający na drugim końcu wioski, który posiadał znaczne winnice, kupił dom moich rodziców i w nim się osiedlił. Przyjął on mnie życzliwie pod swoją opiekę, jako jedyne dziecię zmarłej siostry i wychowywał obok dwóch swoich synów: Relfa i Gerarda. Ale wprzód, nim ci zacznę opowiadać o rodzinnych stosunkach, muszę powtórzyć podanie o założeniu Rheingrafensteinu. Jednocześnie ze mną, znajdowała się na naszej dolinie, inna, równie młoda sierota, która miała pomieszanie zmysłów. Opowiadano iż uległa temu nieszczęściu, skutkiem niewzajemnej miłości.

Była ona ulubienicą wszystkich dzieci, ponieważ znała dokładnie wszystkie podania, a szczególnie te, które dotyczyły założenia Rheingrafensteinu.

Zwano ją prosto Małgosią.

Skoro tylko jakiś podróznik pojawił się we wsi, Małgosia ofiarowała mu się natychmiast za przewodniczkę, opowiadając prawdopodobne i nieprawdopodobne historye, o ruinach zamku.

Siadywała ona też zwykle wpośród nich całymi dniami, śpiewając dziwne pieśni o dumnych rycerzach i pięknych dziewczicach.

Pamiętam, iż od dzieciństwa prawie znajdowałam szczególne upodobanie w towarzystwie Małgosi i skoro ją tylko spostrzegłam, wdrapywałam się za nią na górę, dla usłyszenia jakiegoś podania. Pomiędzy innemi opowiadała mi ona kilkakrotnie podanie, o którym ci już wspominałam, a które brzmiało, jak następuje:

„Przed wielomaset latami, żył w tem miejscu pewien Rheingraf, który pozostawał w niezgodzie z arcybiskupem Moguncyi.

W czasie prowadzonej z tymże wojny, doznał on pewnego razu tak srożej porażki, iż musiał się ratować ucieczką i schronił się pomiędzy temi samymi skałami, na których obecnie znajdują się te rozwaliny.

— Tutaj chciałbym sobie wystawić twierdzę, w której mógłbym urągać duchowieństwu. Ale żaden ze śmiertelnych nie odważy się wdrapywać na tę skałę, a tem mniej budować na niej zbrojnego zamku, jeżeli szatan nie posłuży mu za przewodnika.

Zaledwie zdołał wymówić te słowa, kiedy już duch nieczysty stanął przy jego boku i przemówił: — „Chętnie ci usłużę, ale pod tym warunkiem, że pierwszy człowiek, którego zobaczę przez okno nowej twierdzy, do mnie należeć będzie“.

Hrabia usiłował z początku zwalczyć pokusę, która silnie do niego przemawiała nadzieją, pozyskania niezdojbytej twierdzy na szczycie tej skały, ale szatan zwyciężył wkrótce wszystkie jego skrupuły, tak iż przystąpił do zawarcia z nim umowy.

Skoro nazajutrz hrabia zbudził się ze snu, pierwsze jego spojrzenie zwróciło się na górę, na której ku największemu zdumieniu, spostrzegł zbrojny zamek, którego dachy i wieżycy błyszczwały w promieniach wschodzącego słońca. Nie będąc pewnym, czy pozostaje we śnie, czy na jawie, przecierał sobie oczy, ale twierdza wznieciona za sprawą szatana, nie znikła z góry.

Teraz przypomniał sobie hrabia zawartą umowę i niewypowiedziany przestrasz, ogarnął jego duszę.

Nieśmiał on przestąpić progu nowowzniesionego zamku.

Wczasy kiedy się tak pasował z coraz silniej ogarniającą trwogą, nadeszła żona jego, która umyśliła uratować swego męża z przemocy szatańskiej wymyślonym przez siebie podstępem.

Wysłuchała ona ukradkiem, jak się to kobietom po wszystkie czasy trafiało, rozmowę swojego męża z duchem nieczystym, i postanowiła przewyższyc go chytrością.

— Panie i mężu mój! — rzekła do hrabiego, otrząśnij wszelką trwogę i wstąp śmiało do twojego zamku, już ja się o to postaram, ażeby szatan wprowadzić w pole.

Kiedy więc hrabia zaczął się wdrapywać na górę, puściła przed nim starego osła, okrytego rycerskim płaszczem, na którego długich uszach, kołysał się herb z piórami. Ten dostawszy się pod same okno, zwrócił na siebie pierwsze spojrzenie szatana. Tak więc duch piekielny oszukany podstępem kobiety, musiał chcąc nie chcąc poprzestać na osle. Poprzysiągł jednak, iż się niebawem zemści.

Pierwszej tedy nocy, którą hrabia przepędził w nowym zamku, wraz z swoją żoną, szatan przystąpił do niej i rzekł:

„Zdaje ci się, że to tak łatwo jest zażartować sobie ze mnie, ale przekonasz się wkrótce, że ci to płazem nie ujdzie. W obrębie tych samych murów, wydasz córkę na świat, która przewyższy pięknoscią wszystkie dziewice tego kraju. Otóż tedy ona w siedemnastym roku swojego życia, zo-

stanie zaręczoną ze szlachetnym rycerzem, ale w dniu swojego wesela ucieknie, a kiedy ją zdołasz nakoniec odzyskać, będzie się już znajdowała w mojej mocy. Wówczas zobaczysz, czy to jest tak łatwo ująć potęgę piekiel“.

Upłynęło lat wiele, a hrabina zapomniała zupełnie o pogróźce szatana. Urodziła ona córkę, która z czasem zostawszy piękną jak anioł, była prawdziwą chlubą swoich rodziców.

Przy jej urodzeniu matka przypominała sobie wprawdzie straszliwe proroctwo, ale radość doznawana skutkiem szczęśliwego rozwijania się przesłicznej dziewczeczki, zupełnie je zatarła w pamięci.

Wkrótce też wdzięki pięknej Adelgundy, zasłynęły daleko po kraju. Zdaleka i zblizka ciągnęli rycerze, ubiegający się o jej względy, ale przez długi czas, żaden z nich nie mógł zdobyć sobie jej ręki.

Wtedy to przyjechali do zamku, dwaj szlachetni rycerze, będący synowcami jej ojca. Starszy, Eberhard, przybył w celu starania się o rękę Adelgundy; młodszy zaś Kuno, towarzyszył jedynie swojemu bratu.

Eberhard posiadał umysł bystry, szlachetne serce i słynął ze swego męstwa. Kuno zaś, odznaczał się niepospolitą pięknoscią i darem tworzenia pieśni, któremi wszystkich zachwycał.

Kiedy Eberhard zwrócił się do Adelgundy, z prośbą o jej rękę, którą mu ojciec już naprzód był przyrzekł, nie napotkał z jej strony najmniejszej trudności i oboje wkrótce zostali zaręczeni.

Niedługo potem z powodu jakiejś utarczki z jednym z sąsiednich feodalnych panów nadreńskich, Eberhard został wezwany do swego ojca; Kuno zaś pozostał w zamku jego narzeczonej.

Opiewał on dzień i noc rozkosze miłości, przybierając w tak nadobne barwy to uczucie, że Adelgunda tak dalece zatoneła w jego pieśniach i wyrwasach, że serce jej zapłonęło ku niemu i zapomniała o Eberhardzie.

Ale wkrótce jakoś wierny jej narzeczony, okryty chwałą nowych zwycięstw, powrócił dla obchodzenia godów weselnych. Lecz spojrzenie Adelgundy stało się błędnem, a jej lica pobladyły, gdyż przestała już kochać tego, któremu była przeznaczoną.

Eberhard zmiarkował zaraz, że jego narzeczona zmieniła się do niepoznania. Zaklinał ją ażeby mu powierzyła troskę, co zatrzymała jej młode życie i prosił o wyznanie szczerej prawdy. Ale Adelgunda nie myślała się przyznać do złamania wiary narzeczonemu i grzesznej miłości dla jego brata i odpowiedziała, że jest zupełnie taką samą jak przedtem.

W ogromnej sali rycerskiej miała się odbyć świetna uczta, o jakiej dotąd nikt nawet nie zasłyszał w tych stronach, ponieważ hrabia pragnął uczcić zaślubiny swojej jedynaczki nadzwyczajnym przepychem.

Ale w czasie nocy która poprzedzała oznaczony dzień ślubu, matka Adelgundy w żaden sposób nie mogła zasnąć. Jakaś niewypowiedziana trwoga dręczyła jej serce. Około północy, wcale jeszcze nie zmrzywszy oka, usłyszała jakiś głos, który na nią wołał po imieniu. Podniosła się spiesznie na łóżku, i spostrzegła przed sobą Najświętszą pannę, która w ten sposób do niej przemówiła: „Nieszczęśliwa kobieto! tak że to czuwałaś nad swoim dzieckiem, że mogło tak łatwo puścić się drugą, wiodącą do zatracenia? Wstawaj że teraz słaba matko! idź do twojej córki i zobacz co się z nią stało!“

Po tych słowach Matka-Boska zniknęła, a nieszczęśliwa hrabina, przypominała sobie figiel wyrządzony szatanowi i zemstę, którą jej poprzysiągł. Pobiegła więc do swego męża i opowiedziała mu o swoim widzeniu. Ale hrabia rozśmiał się tylko i powiedziaławszy, że jej się to zapewne śniło, odwrócił się do ściany i zasnął na nowo.

Hrabina jednakże w żaden sposób nie mogąc

naśladować jego przykładu, porwała odzież na sobie i wybiegła do sypialni swej córki.

Dochodząc tam, już zdaleka usłyszała szezęk broni. Popchnęła drzwi gwałtownie i ujrzała przed sobą przerażający widok. Eberhard i Kuno, pasowali się z sobą w najzaciętszej walce. Adelgunda leżała zemdlona w drugim końcu pokoju. Nieszczęśliwa matka wydała okrzyk rozpacz, gdyż w tejże samej chwili, miecz młodszego brata, przebił nawskróś piersi starszego. Przenikniona zgrozga upadła na ziemię i nie zobaczyła już nic więcej, usłyszała tylko rozdzierający krzyk własnej córki i głos szatana z chychotem przemawiający do niej: „Córka twoja stała się wiarołomną, ponieważ kochała dwóch naraz mężczyzn i stała się przyczyną waśni pomiędzy nimi i bratobójstwa, z prawa zatem teraz należy ona do mnie!“

Przykry swąd wybuchającej siarki napełnił powietrze, a cały zamek zadrżał w swoich posadach, od uderzenia gromu.

Nazajutrz rano znaleziono nieszczęśliwą matkę leżącą bez życia w sypialni córki, a na łóżku Adelgundy znajdował się tenże sam stary osioł, który się dostał szatanowi za wybudowanie twierdzy.

Biedna Małgosia za każdym razem, zwykła była kończyć swoje opowiadanie temi słowy: Podanie mówi jeszcze, że wszelka miłość, która się zawiąże w pobliżu ruin Rheingrafensteinu, przyniesie jedynie samo nieszczęście kochankom, a przekleństwo które spoczywa na tym zamku, dopóty nie straci złowrogiej mocy, dopóki dusze Adelgundy i Eberharda nie zostaną pojednane z sobą, a nieszczęśliwa jego narzeczona nie będzie wyzwoloną z mąk czyszcowych i nie odzyska utraconej łaski Najświętszej Panny. Wtedy zaś dopiero nastąpi to wszystko, kiedy w tem samym miejscu gdzie Adelgunda złamała wiarę Eberhardowi, dwa wierne serca połączą się niezłomną miłością.“

Takim było podanie, które usłyszałam z ust Małgosi, wraz z zabobnem rozwiązaniem, które przeciągając rzuconą kłatwę w odległe wieki, wywierało złowrogi wpływ na moją wrażliwą wyobraźnię. Po tych słowach moja towarzysząca umilkła i dopiero po chwili, odezwała się na nowo:

— A teraz kiedy ci już opowiedziałam właściwe podanie, muszę cię objaśnić o tem, jaki stosunek miało ono z historją mojego życia.

Wuj który mnie tak miłosiernie przytulił w sieroctwie, był prawdziwym chrześcijaninem, surowym w obyczajach, sprawiedliwym w sądach, niezłomnym w wierze i niezachwianym w wykonywaniu obowiązków.

Uprawiał on obyczajem przodków rozległe pola, hodował winorośl, a za pomocą pracowitych studjów, i czytaniu naukowych książek, kształcił swój własny umysł.

Przepędził on niegdyś w młodości, parę lat swojego życia, na jednym z najznakomitszych uniwersytetów niemieckich, gdzie zzbogacił się skarbnami wiedzy, które w późniejszym wieku, nie przestawały mu przynosić obfitego plonu.

Niepodobna było prawie przebywać z nim pod jednym dachem ażeby go nie pokochać z całej duszy. Od dzieciństwa przyzwyczaiłam się uważać za prawdziwy występki, najmniejsze przekroczenie jego rozkazu. Małą jeszcze będąc dziewczynką, mogłam po całych godzinach siedząc u nóg jego, słuchać jego mowy, jak gdyby jakichś tonów wzniosłej muzyki, które jakkolwiek nie zewszystkiem zrozumiałe dla mego umysłu, czarowały moją duszę zachwycającemi dźwiękami. Słowem jak daleko mogę zasięgnąć pamięcią, przypominam sobie iż nigdy nie miałam droższego odeń przedmiotu czei i przywiązania.

Stracił on żonę jeszcze przed śmiercią moich

rodziców, tak iż był następnie dla mnie i swoich dwóch synów, zarazem ojcem i matką. Siostra jego i mojej zmarłej matki, najstarsza ze swego rodzeństwa, kierowała całym domowym gospodarstwem.

Ciotka Monika była nader pospolitą kobietą, nie gorszą i nie lepszą od wielu innych. Jedynym wybitnym rysem jej charakteru było namiętne przywiązanie do młodszego z synów braterskich, Gerarda, którego niegdyś jako półroczną dziecięcą odebrała z rąk umierającej matki i wychowała własnym staraniem.

Dwaj moi kuzynowie Rolf i Gerard, byli pod każdym względem, jak dzień i noc, niepodobni do siebie.

Pierwszy z nich był łagodny i poważny, w wielu bardzo myślach i poglądach przypominający ojca. Lubił on taksamo jak i tamten wszystko co dobre, piękne i szlachetne, i żył z tem przekonaniem, że można i w najstronniejszym zakątku ziemi stać się pożytecznym, jeżeli tylko miłość własna, nie zabije w nas miłości ku bliźnim. Przy całej prawości i szlachetności swojej dworak ten, należał on do ludzi, którzy nie będąc zrozumianymi od drugich, łatwo przybierają cechę powierzchownej surowości.

Gerard przeciwnie odznaczał się niezmiernie piękną twarzą, był żywy, gwałtowny, niepohamowany w uczuciach i do najwyższego stopnia niestały. Znajdował on życie w naszej smutnej dolinie, nudnem do niezniesienia, pragnąc tylko tego, ażeby jak najprędzej mógł się wydostać pomiędzy ludzi, gdzieś na obczyznę, gdzie mógłby mieć więcej ruchu i zajęcia.

Gwałtowny aż do zapomnienia, był on już od lat dziecięcych źródłem bezustannej trwogi dla ciotki, a zmartwienia dla ojca, który nie mógł ani dobrocią, ani surowością, opanować jego łusposobienia, co za najmniejszym oporem doprowadzało go do prawdziwej wściekłości.

Względem swojego brata, żywił on jak dawno mogę zapamiętać, najżywsze uczucie wstrętu i urazy, co pochodziło ztąd że Rolf był silniejszym od niego i wzmagało się ustawicznie przez to, że ojciec zwykł był przedstawiać Rolfa jako wzór obyczajności, zamiłowania łpracy i posłuszeństwa.

Rolf w miarę lat przybywających, podwajał coraz bardziej usiłowania, ażeby jaknajwięcej sprawić ojeu przyjemności i o ile sił starczyło, ziścić wszystkie nadzieje, jakie mógł w nim położyć.

Ztąd też był on zawsze dla mnie wzorem postępowania i pierwszym po wuju, dziecięcego uwielbienia. Był on o całe sześć lat starszym, odemnie, a przez wyższość rozumu i tkliwe przywiązanie, potrafił mnie najlepiej kierować ku wszelkim uczuciom prawości i enoty. Gerard przeciwnie, stanowił istną rozkosz i męczarnię mojego dziecięctwa. Jego wesołość, sprawiała mi o tyle przyjemności, oile jego gwałtowność nabawiała mnie trwogi i smutku. Był on dla mnie rodzajem domowego tyra.

Jego charakter złożony ze wszystkich odcieni zmiennej wartości, zuchwalstwa i gorącości uczuć, wywierał na mnie wpływ gorączkowy. Co chwila nie byłam pewną, jakim się okaże dla mnie; gdyż dość było czasu jednego słowa, ażeby go od tkliwych pieścizot, doprowadzić do zapamiętałego gniewu. Kiedyśmy się bawili razem, przeskakował co minuta, od jednej gry, do drugiej, każdą znudzwszy się w końcu. Zapragnąwszy raz czegoś, roznamiętnił się do posiadania tego, w miarę przybywających przeszkód, gotowym będąc poświęcić własne życie i zdrowie. Ale skoro już raz dopiął swojego celu, nie czuł żadnej radości z osiągnięcia upragnionego przedmiotu, który już wówczas tracił dla niego wszelką wartość.

Pewnego wieczoru, opowiadał mi, że odkrył jakieś osobliwe gniazdo ptasie, na samym wierz-

chołku drzewa, rosnącego tuż nad strumieniem i zamierza wybrać się po nie nazajutrz rano.

Następnego dnia rzeczywiście, jeszcze przed wschodem słońca udał się w drogę.

Wdrapał się z największym wysileniem, aż na sam wierzchołek drzewa, lecz dostawszy się tam, zobaczył, iż został już przez kogoś innego uprzędzonym. Rozgniewany tym zawodem swoich nadziei, rzucił się nierozwaznie na dół, i potłukł się tak niebezpiecznie, że go całego zbroszonego we krwi, musiano odnieść do domu.

Innym razem, miał on wraz z Rolfem odbyć konną wycieczkę do Ebernburga. Gerard utrzymywał, iż prędzej stanie u celu, ale koń Rolfa prześcignął jego wierzchowca, tak iż starszy brat dojechał wcześniej, co go przejęło tak gwałtowną rozpaczą, iż zaledwie zdołano go powstrzymać od rzucenia się w przepaść, ze szczytu dawnej strażnicy. Chciał on mieć we wszystkim pierwszeństwo, nie znosząc nigdy, ażeby mu ktokolwiek nie przyznał słuszności, lub też sprzeciwił się jego żądaniom.

Łatwo zapewne zrozumiesz, że podobne usposobienie, musiało na niego ściągnąć bezustanne kary i napomnienia rozumnego ojca, lubo te nie wywoływały w nim nigdy najmniejszej zmiany. Gerard nie obawiał się żadnej kary i nie uważał na żadne napomnienia, ponieważ chodziło mu przedewszystkiem o zadowolenie własnych życzęć.

Mając lat siedemnaście, podobnie jak przedtem starszy brat jego, został wysłanym na uniwersytet do Heidelberga. Rolf z wielką korzyścią, przepędził tam całe trzy lata. Ale Gerard najnie spodzianie po rocznym zaledwie pobycie wrócił do domu. Przybycie jego zdziwiło nas, ale nie ucieszyło nikogo. Powrócił on bez żadnych paskunków, pieszko i dosłownie obdarty ze wszystkiego, ponieważ już przedtem odbył dość kosztowną wędrówkę nad brzegami Renu.

Podczas pierwszych tygodni, przepędzonych w domu, po swoim powrocie, zdawał się nam moeno zmienionym. Spowolniał on znacznie i przebywał spokojnie w naszej dolinie, nie bujając po okolicach i starał się zwłaszcza pod nieobecność Rolfa, wynagrodzić ojeu, niedbalstwem okazane w ciągu pierwszorocznego pobytu w uniwersytecie. Ale cisza, rozmyślanie i praca, były całkiem przeciwnie jego usposobieniu. Niebawem też zaczął się nudzić, biegać na łowy, i rozpoczynać rozmaite zaczepki z okoliczną młodzieżą. Książki i zeszyty leżały teraz okryte kurzem, a za każdym przypomnieniem ojca, o zaniedbanych studjach odpowiadał:

— Pozwól mi tylko ojeze pojechać znów do uniwersytetu, a zobaczysz na jakiego człowieka się wy kieruję, bo przyznam ci się szczerze, że nie jestem stworzonym na winiarza. Teraz jednak zamiast do Heidelberga, wołę się udać do Berlina.

Wuj który we wszystkim pragnął przedewszystkiem dobra drugich, uwzględnił i to życzenie swego syna i w rok później, wyprawił go do Berlińskiej wszechnicy.

Niedługo po jego odejździe, Rolf powrócił do domu, mając już teraz objąć całkowity dozór nad uprawą rozległych pól i winnic ojcowskich.

Gerard przez całe dwa lata nie pokazał się w domu.

(Dalszy ciąg nastąpi).